

W numerze: PROF. DR JÓZEF DUTKIEWICZ *Europa po ustąpieniu de Gaulle'a* ● KONRAD FREJDLICH
Poezji dzień powszedni ● RYSZARD BINKOWSKI *Dziewczyna pod plebańskim sadem* ●
 KAROL BADZIAK *Do Sopotu jadą wozy kolorowe* ● *Zewsząd o wszystkim* ● *Nowela*

M.B.
 im.
 L. W.
 w
 Łodzi



13. IX. 1970 r.
 37 (669)
 Cena 1,50 zł

odgłosy

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII



Jugosłowianka Theresa Kosovia oblegana przez fotoreporterów.
 O Festiwalu czytaj na stronie 3.

JAN KOPROWSKI

Legenda i rzeczywistość

Nie mam zwyczaju i nie lubię jeździć do miejsc „sławnych”, o których wszyscy mówią i piszą, wychwalając je na wyprzedki. Stosunkowo późno poznałem Zakopane i do dziś nie wiem, na czym polega jego urok. Góry, owszem, wspaniałe, ale samo Zakopane? Nie przesadzajmy. Wydaje się, że wiele jest miejscowości od Zakopanego piękniejszych, tyle, że mniej znanych lub wcale jeszcze przez nas nie odkrytych. Istnieje nie tylko moda ubraniowa, lańsująca takie a nie inne okrycia. Istnieje również moda na miejscowości. Nie zawsze jednak wiadomo, jakie tą modą rządzi prawa i co powoduje, że jedne miejsca modne są zawsze, a inne — nigdy się tej mody doczekać nie mogą. Późne odwiedzanie głośnych miejscowości ma swoje dobre i złe strony. Dobre — bo oblicuje uroki, których jeszcze nie znamy, złe — bo może nie spełnić naszych oczekiwań, a nawet po prostu nas rozczarować. Wysłuchując wciąż pochwał o miejscowości X lub Z, nastawiamy się na Bóg wie jakie cuda i kiedy wreszcie tam pojedziemy, jesteśmy zdziwieni i zawiedzeni. Spodziewaliśmy się tak wiele, a zobaczyliśmy tak mało. O Kazimierzu nad Wisłą istnieje cała literatura. Adolf Rudnicki nie jedną ze swych „Niebieskich kartek” poświęcił opisowi uroków tego miasteczka, Maria Kuncewiczowa (o wżycie u niej i rozmowie napiszę osobno) całe „Dwa księżycy” i część „Odkrycia Patusanu” oddała na chwałę Kazimierzowi, a zmarły niedawno w Lublinie Konrad Bielski, nieodżałowany nasz kolega, Kondziem zwany, wydał jedyną w swoim rodzaju książeczkę pt. „Spotkania z Kazimierzem”. Nie liczę, oczywiście, książek dawniej ogłoszonych oraz dziesiątków artykułów i reportaży, które pojawiały i pojawiają się wciąż na łamach dzienników i czasopism. Kazimierz rósł i potężniał w mojej wyobraźni. A tu jeszcze głosy znajomych i przyjaciół stale tam bywających: „Kto raz pojedzie do Kazimierza, ten zawsze będzie do niego wracał”, „Kazimierz — prawdziwa pa

Dalszy ciąg na str. 3

TERESA WOJCIECHOWSKA

HIPPIES PO ANGIELSKU

Jeszcze w Warszawie dowiedziałam się, że będę w Londynie mieszkać u hippiesów. Nie powiem, żeby mnie ta wiadomość napełniła zachwytem, ale sprawa była już przesądzona i nie podlegała dyskusji między innymi z powodu braku alternatywy mieszkaniowej. Pokój, który miałyśmy z przyjaciółką zająć w Londynie należał do studenta Anglika, aktualnie przebywającego w Polsce na wakacjach. James jest wielkim entuzjastą naszego kraju, pilnie uczy się polskiego, w jego biblioteczkę znalazłyśmy piękne angielskie wydanie dzieł Witkacego z ilustracjami pisarza, dwa tomy słownika Stanisławskiego i samouczek angielsko-polski. Przeglądając ten samouczek doszłam do optymistycznego wniosku, że języka polskiego w żaden sposób nie można się nauczyć, taki jest trudny. Świadomość, że jako tako znam ten nadzwyczaj trudny język była mi pociechą wówczas gdy zorientowałam się, że moja wieloletnia nauka bardzo łatwego języka angielskiego jest na gruncie londyńskim właściwie zupełnie nieprzydatna i że wszystko należy zaczynać od początku.

James nie jest hippielem, jest sympatykiem hippiesów. Nie wiem dokładnie jaka jest rola sympatyka w tym ruchu. W każdym razie James żyje w przyjaźni ze swymi współlokatorami — hippiesami, należy do wspólnoty gospodarskiej (wspólne zakupy, wspólna kuchnia), w jego pokoju wisi przy oknie „mobile” z tekturek zawieszonych na nitkach. Czerwono-białe kartoniki z wymalowanymi serduszkami, amorkiem i napisami: „Love”, „Hearts and Flowers” obracają się poruszane wiatrem i świadczą o tym, że James jest sympatykiem.

Nasz pokój, którego właściciel przebywa właśnie w Polsce, umeblowany jest raczej skromnie. Olbrzymi tapczan, stara komoda, mała półeczka na książki, stolik, jedno krzesło. Reszta na podłodze — zamiast krzeseł — olbrzymie poduszki. Ściany zawieszono plakatami polskich filmów,

na ścianie naprzeciw tapczanu Beata Tyszkiewicz w „Lalce”. Całe mieszkanie składa się z kilku pokoiów, zajmowanych przez młodych ludzi — przeważnie studentów lub absolwentów. To są właśnie nasi hippiesi. Notabene takich mieszkań zajmowanych przez młodzież jest tu bardzo dużo. W konserwatywnej Anglii istnieje bardzo nowoczesny zwyczaj, według którego syn lub córka, rozpoczynając studia lub pracę, wstępuje w samodzielne życie i wyprowadza się z rodzicielskiego domu.

Kiedy po przyjeździe z Polski wkroczyliśmy do mieszkania, nasi gospodarze byli zajęci wygarnianiem góry śmieci z korytarza. Zapewne był to skutek gruntownych porządków z okazji naszego przy-

Dalszy ciąg na str. 5



Tysiąc lat więzienia

„NEWSWEEK” — NOWY JORK

Gdy w lutym tego roku, 49-letni bandyta, Joseph Syllitz, powstał z ławy oskarżonych, aby wysłuchać wyroku sądu karnego w Dallas, nikt z obecnych na sali nie wątpił, iż przysięgli potraktują go z całą surowością prawa. Ma on na swym koncie 25 wyroków sądowych za grabież, a teraz sądzono go za napad na pralnię chemiczną z bronią w ręku. Jednakże wyrok ogłoszony przez przewodniczącego sądu przysięgłych był niespodzianką nawet dla zawziętych zwolenników ciężkiego więzienia!

Niebawym wzrost przestępczości stał się plagą większych miast amerykańskich, Dallas zaproponowało więc własne środki walki z bandytyzmem, zmierzające do odstraszania potencjal-

nych przestępców, ferując tak wysokie wymiary kary. Niemal nazajutrz po wyroku na Syllitza, sąd przysięgłych w Dallas skazał dwóch młodych przestępców za dokonanie gwałtu: jednego na 1000 lat, a drugiego na 1001 lat ciężkiego więzienia.

Ostatnio 27-letni Amerykanin meksykańskiego pochodzenia, usiłujący sprzedać heroinę policjantowi z tajnej służby, został skazany na 1500 lat więzienia.

Również liczba wyroków kary śmierci, wydanych przez sądy w Dallas, wzrosła w tym roku przeszło dwukrotnie.

Wyroki te wywołały popłoch i przerażenie wśród przestępców, oczekujących na rozprawę sądową w okregowym więzieniu karnym w Dallas.

Bomba z opóźniającym zapalnikiem

„TIMES” — LONDYN

Już przed dwoma laty amerykańskie władze wojskowe przygotowały do zatopienia w wodach oceanu 66 ton gazu, porażającego system nerwowy. Aby rakiety z głowicami tego gazu móc bezpiecznie przecho-

wać na lądzie, jak również bez ryzyka zatopić, umieszczono je w specjalnych zasobnikach betonowych, po 30 rakiet w każdym. Obecnie, po dwóch latach, środki wybuchowe, znajdujące się w rakietach znajdowały się już w takim stanie, iż w każdej chwili mogły wybuchnąć samoistnie.

Jeśli, jak utrzymują władze wojskowe, rakiety mogłyby eksplodować w każdym dniu po 1 września br., to już od dawna należało coś z nimi zrobić. Poinformowano nas, iż każda z tych rakiet zawiera ilość gazu zdolną uśmiercić wszystkie żywe istoty w promieniu ćwierć mili od miejsca jej wybuchu. Tych śmiertelnych rakiet było ogółem 12.540 i opinia publiczna słusznie oburza się, że władze wojskowe USA nie zrobiły nic, aby uszczepić społeczeństwo od ogromnego niebezpieczeństwa.

Amerykanie zarzucają również swoim władzom wojskowym, że prowadziły one nieczystą grę. Ponieważ rakiety są w betonowej obudowie, nie można było ich demontować bez ryzyka wy-

wołania wybuchu. Odwiekając do ostatniej chwili operację zatopienia rakiet, siły zbrojne USA, praktycznie rzecz biorąc, nie miały już czasu na poszukiwanie jakiegos innego wyjścia.

Specjaliści amerykańskiego ministerstwa obrony utrzymują, iż ulatnianie się gazu w miejscu zatopienia rakiet będzie odbywało się powoli, a gaz będzie wchłaniał woda morską. Cały ten proces będzie zachodził — jak mówią oni — na głębokościach Oceanu, absolutnie niedostępnych dla człowieka. Nikt jednak nie może powiedzieć, o ile te twierdzenia ekspertów są prawdziwe. A tymczasem rzeczywiście jest taka, że wszystkie rakiety z gazem zostały zatopione i ta straszliwa bomba z opóźniającym zapalnikiem będzie spoczywać na dnie Oceanu Atlantyckiego.

Ocean jest ogromny i minie wiele lat, nim badacze głębin morskich dotrą do ich najdalszych rejonów. To prawda, ale penetrując je będą musieli skrupulatnie omijać wielkie obszary wodne, leżące w odległości 300 mil od brzegów Florydy.

Można mieć tylko nadzieję, że ludzkość nie będzie musiała zdać kiedyś rachunku z tego postępków i że rok 1970 będzie pierwszym i ostatnim, w którym zrobiono tak ryzykowny krok.

Elektroniczny kasjer

„BUSSINES WEEK” — NOWY JORK

W wielkim samoobsługowym domu towarowym w Los Angeles, panie domu, stając z produktami przed wyjściem napotyka — zamiast znanych im aparatów kasowych — lśniące metalowe urządzenia elektronicznych maszyn liczących. W czasie, gdy odbywa się sumowanie wartości zakupów konsumenta, wiele mil od magazynu towarowego, centralna elektroniczna maszyna obliczeniowa prowadzi nieustającą inwentaryzację towarów, ubywających z magazynu i jednocześnie dodaje ogólne sumy, wpłacane w tej chwili przez konsumentów.

System ten, który otrzymał nazwę „Marketrun”, opracowany przez firmę Inventory Management Systems, uważa się za pierwszy automatyczny system tego rodzaju, który można zainstalować w każdym magazynie.

Sześć miesięcy pracy „Marketrun” w sklepie firmy „Foodfair” wykazało jego ogromną przydatność, zarówno dla kupujących jak i dla magazynu.

Prezes kompanii Inventory Management Systems, D.

Hackman, uważa, że jedną z głównych zalet „Marketrun” z punktu widzenia klienta, jest to, iż płaci on dokładną cenę za zakupiony produkt. Operacja polega bowiem na tym, że pracownik magazynu wprowadza do EMO nie cenę danego towaru, lecz jego numer rejestracyjny, składający się z kilku cyfr i komputer natychmiast wybiła określoną sumę na taśmie czekowej. Ekspedient nie potrzebuje więc wyliczać, ile kosztuje, powiedzmy, jedna butelka wody sodowej, jeśli sześć butelek kosztuje 87 centów. Maszyna elektroniczna uwzględniła poza tym podatek, odejmuje wysokość zastawu za butelki itp.

Właściciele wielkich firm handlowych utrzymują, iż największe korzyści przynosi saldo zapasu towarów, znajdujących się w magazynie dokonywane przez maszynę na bieżąco. Gdy zapasy te spadają do określonego minimum, EMO automatycznie „redaguje informację”, że należy je niezwłocznie uzupełnić. Nie chodzi więc o potrzebę magazynowania wielkiej masy towarowej, co obniża koszty transportu i ceny sprzedaży.

Wyprzedaż w Watykanie

„EUROPEO” — MEDIOLAN

Watykańską „Generale immobiliare”, jedną z największych w świecie kampań dla handlu nieruchomościami, kupił Amerykanin Charles Bluddorn, członek rady nadzorczej „Paramount”.

Jest to jedna z największych międzynarodowych operacji tego rodzaju, a już z pewnością największa, jakie kiedykolwiek przeprowadzono we Włoszech na przestrzeni wielu lat.

Jej następstwa, nie mówiąc o finansowych, są, a w każdym razie będą wkrótce, bardzo wielostronne: ogromna część ziemi oraz innych nieruchomości w Rzymie, a także na jego przedmieściach, pomyślanych jako tereny rozwojowe stolicy, w najbliższych latach, znajdują się teraz w rękach

cudzoziemców. Podnoszenie cen działek ziemskich będzie oczywiście wygodne tylko dla nich. Ale co ważniejsze — zamysły cudzoziemców, a nie Włochów, będą kształtowały oblicze stolicy i innych miast włoskich.

Nietrudno zrozumieć, dla czego Watykan podjął taką decyzję. Kościołowi jest nie wygodnie być właścicielem wielkiego imperium finansowego i przemysłowego w momencie, kiedy obecna sytuacja polityczna we Włoszech nie sprzyja obronie interesów wielkich potentatów przemysłowych. Wielu włoskich przemysłowców i finansistów próbuje likwidować wkłady kapitałowe w kraju i lokować je za granicą. To samo robi Watykan.

Na razie przygotowania

„FRANCE PRESSE” — PARYŻ

Sądząc z informacji, jakie napływają z Chin, po przeszło trzy lata trwającej przerwie, spowodowanej „rewolucją kulturalną”, rozpoczęła pracę Instytut naukowy. Na razie, studenci większości wyższych uczelni, wciąż jeszcze zamkniętych, uczęszczają wyłącznie na kursy „idei Mao” organizowane wspólnie z wojskiem przez specjalne oddziały propagandowe.

Wielu studentów wysłano do rejonów wiejskich w celu „przeszkolenia ich przez proletariariat wiejski”. Uważa się to za poważne przygotowanie studentów do właściwej nauki.

W okresie „rewolucji kulturalnej” uniwersytet pekiński był areną zaciętej walki politycznej, która w roku 1968 przekształciła się w ostre starcia pomiędzy różnymi ugrupowaniami studentów. Aby wreszcie wprowadzić porządek na uniwersytecie, powołano oddziały propagandowe. Jednak dopiero po upływie roku udało się im wprowadzić tam wia-

sny „komitet rewolucyjny”.

Reformy w programie nauki nie opracowano do dnia dzisiejszego. Wiadomo tylko, że położy się w niej nacisk na opanowanie dyscypliny przyrodniczych, technicznych i medycznych. Górnictwem jest z naukami humanistycznymi, chociaż istnieją oznaki, iż władze nie zamierzają ich zaniedbywać w przyszłości, nie bacząc na niebezpieczeństwo rozprzestrzeniania się „ideologii burżuazyjnej”. Mówi się, że niedawno powołano do pracy na uniwersytecie wykładowców nauk humanistycznych, których zwolniono z uniwersytetu pekińskiego w okresie „rewolucji kulturalnej”.

W tym samym czasie wznowiono kampanię przeciwko „rewizjonistycznej linii w literaturze i sztuce”, której rzekomo przewodniczył Liu Szao-tsi. Studentom proponuje się, aby zostali „bojownikami myśli proletariackiej” na frontach ideologicznym i kulturalnym, wzywającą w czyn idee Mao.

Studenckie kłopoty

„U. S. NEWS AND WORLD REPORT” — PARYŻ

Wielu studentów amerykańskich, poszukujących do rywekacji pracy w okresie wakacji, spotkało rozczarowanie.

Zmniejsza się zapotrzebowanie na pracę. Poważny niepokój wywołują oznaki inflacji, Rośnie bezrobocie. Wszystko to wpływa na to, że przedsiębiorcy nie chcą zatrudniać robotników sezonowych.

Z 2,7 miliona studentów w wieku od 17 do 25 lat, poszukujących tego lata pracy dorywczej, nie znalazło jej około 650 tysięcy.

Dyrektor centralnego biura zatrudnienia studentów uniwersytetu w Kalifornii, Edward Shoy, powiedział, że liczba miejsc pracy w tym rejonie kraju, w porównaniu z rokiem ubiegłym, zmniejszyła się o 15 procent. Kompanie przemysłu aerokosmicznego, które zwykle zatrudniały dużą liczbę studentów, obecnie starają się zabezpieczyć pracę wyłącznie swoim robotni-

kom i pracownikom umysłu.

W Detroit w związku ze spadkiem popytu, kompanie samochodowe dokonały czasowych zwolnień robotników. „W tym roku — mówią przewodniczący biura za trudnienia studentów uniwersytetu w Michigan, Evert Hardiss — praktycznie rzecz biorąc, nie ma mowy o otrzymaniu pracy dorywczej”. Potwierdza to przedstawiciel kompanii „General Motors”: „Nasze możliwości zaferowania pracy dorywczej w okresie wakacji zmniejszyły się w tym roku znacznie. W ubiegłym przyjęliśmy do nas kilka tysięcy studentów, w tym — zaledwie kilkuset”.

Wspomniany już Hardiss z uniwersytetu w Michigan informuje, iż podczas tegorocznych wakacji w Michigan chwytało prace na kempingach, w sanatoriach, w parkach itp. Dawniej studenci nie podejmowali takich prac, a dziś są wartownikami, naczyniami, nianiczą dziećmi...”

Niekiedy bywa tak, że tydzień po tygodniu podejmować trzeba w przeglądzie międzynarodowych wydarzeń tę samą tematykę. Ma to miejsce wówczas, kiedy sytuacja szybko się rozwija i pojawiają się nowe elementy. Tak właśnie jest obecnie z BLISKIM WSCHODEM. Powiew optymizmu, który najpierw wynikał z ogłoszenia rozejmu, a potem z rozpoczęcia pośrednich — z udziałem amb. Jarringa — konsultacji, aktualnie znów musi ustąpić miejsca bardziej pesymistycznym ocenom. Ow zwrot ma swe źródło w długiej nieobecności przedstawiciela Izraela w Nowym Jorku, co z kolei związane jest z trzema w ub. tygodniu nadzwyczajnymi posiedzeniami gabinetu izraelskiego. Powtarzając oskarżenia pod adresem ZRA o naruszenie rozejmu — część polityków z Tel Awiwu z wojowniczym Dajaniem na czele zażądała zawieszenia rozmów pokojowych. Jaka zapadła decyzja nie ogłoszono, ale Dajan jest z niej zadowolony. — W obecnych okolicznościach — oświadczył przed kamerami telewizyjnymi — moja dymisja nie jest konieczna. Czy oznacza to, że przedstawiciel Izraela nie powróci do Nowego Jorku, przekonamy się wkrótce.

Dajan może się cieszyć nie tylko dlatego, że gabinet izraelski przyjął jego „sztywny punkt widzenia”, ale i dlatego, że w sukurs pospieszył mu Waszyngton potwierdzając izraelskie skargi o rzekomym naruszeniu przez ZRA warunków zawieszenia broni.

Komentatorzy zachodni próbują usprawiedliwić tę zmianę w stanowisku USA ich obawą, aby nie rozpadł się rząd Goldy Meir i Izrael nie przeżył głębokiego kryzysu. Czy jednak nie chodzi także o to, aby przygotować grunt do nowych dostaw sprzętu militarnego, czego wciąż domaga się Tel Awiw?

Nikt nie miał złudzeń, że droga do pokojowego rozwiązania konfliktu będzie krótka i łatwa oraz co do wsparcia, na jakie Izrael może liczyć ze strony Stanów Zjednoczonych. Czyż jednak można było oczekiwać, że u samego jej początku Izrael aż tak bardzo spiętrzy trudności?

Pozostawmy wydarzenia bliskowschodnie ich biegowi i przemieśmy się do Azji. Trasę: południowa Korea, Tajwan, południowy Wietnam, Kambodża i Syjam przemierzał właśnie wiceprezydent USA — Agnew. Pojechał on, jak donoszą zachodnie agencje, aby przekonać sojuszników Stanów Zjednoczonych, iż redukcja amerykańskich sił wojskowych w tym rejonie w niczym nie osłabi ich bezpieczeństwa. Inaczej mówiąc MISJA AGNEWA polegała na zapewnieniu, iż pancerny ochronny nad różnymi marionetkowymi reżimami będzie nadal rozciągnięty. „Handelsblatt”, komentując tę podróż, pisze, że wymienione państwa azjatyckie „muszą bardzo wnikliwie rozważyć co oznacza dla nich utrzymanie amerykańskich sfer wpływów przy zmniejszonej ilości wojsk.” No cóż — doskonale rozumiemy powód zakłopotania, chociaż z tym wycofywaniem — to duża przesada.

Właśnie zabral na ten temat głos szef delegacji północnowietnamskiej na rokowania w Paryżu — Xuan Thuy. „Amerykański program redukcji wojsk — stwierdził — jest zbyt powolny i przewiduje pozostawienie znacznej liczby wojsk”. Xuan Thuy przypomniał, iż przed podjęciem rozmów to sprawie wstrzymania ognia — USA powinny najpierw zaakceptować bezwarunkowe wycofanie swych sił i zastąpienie reżimu sajsjońskiego tymczasowym rządem koalicyjnym.

Zapytany, jakie perspektywy dla rokowań paryskich otwiera obecność nowego delegata USA — amb. Bruce, powiedział: „Zobaczymy, czy będzie on kontynuował poprzednią linię administracji Nixona, czy też zmiana w tym stanowisku pozwoli konferencji na wyjście z impasu”. Jeśli Bruce wysunie takie propozycje — dodał — gotów jestem także do prywatnych spotkań z szefem delegacji USA.

Przytaczam tę wypowiedź, ponieważ jest ona niekiedy komentowana jako wyrażająca ostrożny optymizm co do możliwości pewnego postępu w rozmowach paryskich. Dotychczasowy ich przebieg wykazuje, że Stany Zjednoczone nie są gotowe do pokojowych rozstrzygnięć i że — co więcej — nie są nimi na serio zainteresowane.

We wtorek zebrała się w stolicy Zambii — Lusaca III KONFERENCJA KRAJÓW NIEZAANGAŻOWANYCH. Udział w niej ok. 60 delegacji, w tym w połowie z szefami państw lub rządów na czele, wskazuje na wagę konferencji.

Kraje niezaangażowane spełniają ważną rolę w polityce światowej. Ich głos w wielu najbardziej problematycznych międzynarodowych jednokrotnie wpływał na łagodzenie konfliktów. Stanowią one poważną siłę w ONZ, udzielającą często wsparcia pokojowym inicjatywom krajów socjalistycznych.

Właśnie w Polsce przebywał premier rządu jednego z takich krajów — AFGANISTANU. W toku wizyty N. A. Etamadiego omówiono wzajemne polsko-afgańskie stosunki oraz dokonano przeglądu sytuacji międzynarodowej.

Wspólny komunikat o wizycie podkreśla m. in. zbieżność poglądów Polski i Afganistanu na drogi rozwiązania konfliktów: indochińskiego i bliskowschodniego.

W. SLAWSKI

Legenda i rzeczywistość

Dalszy ciąg ze str. 1

ra", „Zobaczyć Kazimierz i już tam zostać” itd., itp.

Więc zdecydowałem się na ten Kazimierz. Późno, bo późno — ale przecież. Jechaliśmy nabici opowieściami i przeczytaną literaturą, oczekując wrażeń niezwykłych i przeżyć niecodziennych. No i co? Nie powiem, żeby nam się Kazimierz nie podobał. Zwłaszcza jego bliższe i dalsze otoczenie. Piękna, o brzegach zarosłych wikliną Wisła, wzgórze poprzecinane licznymi wąziami, bogaty drzewostan i roślinność (rzadkie w naszym kraju berberysy, anemony, caprifolium a nawet okazy flory czarnomorskiej), niezapomniane widoki z ruin zamczyska, baszty czy wreszcie z dachu tarasu niegdysiejszej pracowni Tadeusza Pruszkowskiego. Równie malowniczo położone, ale na przeciwległym wzgórzu, „Dom Prasy”, w którym wypoczywaliśmy, i willa Marii i Jerzego Kuncewiczów, nazywana przez turystów „Kuncewiczówką”, o której jako obiekcie godnym obejrzenia pisze przewodnik po Kazimierzu i okolicy. Co jeszcze? Ano ów legendarny Rynek z kamienicami w późnorenansowym stylu Przybyłów, Górskich i Celejów, kościół Reformatorów i Fara, Dom Architekta, projektowany przez wielce zasłużonego dla miasta inwestora i konserwatora, Karola Sicińskiego, który projektował także piękną willę Kuncewiczów. Dopóki Siciński odpowiadał za odbudowę i rozbudowę Kazimierza, nie dopuszczał do wznoszenia domów nie pasujących do zachowanego stylu i charakteru całości, a trzeba rzec, że był to człowiek światły i rozumny, nadto — zakochany w swoim dziele. Gdy jego zabrakło (pełnił swoją funkcję przestał w 1958 a zmarł w 1965 roku), sprawy pocięły się inaczej. Urok Kazimierza należy do przeszłości, albo nigdy go nie było czyli istniał jedynie w legendzie. Przywołajmy na pomoc słowa Konrada Bielskiego, jednego z niekoronowanych królów Kazimierza, który we wspomnianej już książce „Spotkania z Kazimierzem” napisał m. innymi: „Bo, moi kochani, ten Kazimierz, który dzisiaj oglądacie, to nie jest to, co było. Bezwrotnie utracił swój specyficzny folklor i pewnych ludzi. A także część dawnej architektury i coś z pejzażu. Ot, choćby Rynek. Czyż można porównać ten kipiący życiem dawny z dzisiejszym poważnym, pustym i nudnym; eksponat dla zwiedzających, ale nie miejsce bytowania żywych ludzi.”

Dziś (niestety, niestety) panuje w Kazimierzu kurz, bród, smród i bałagan. W mieście o takim rozgłosie dopiero w dwa dzieścia pięć lat po wojnie przeprowadza się kanalizację. Roboty zresztą wloką się miesiącami, wydaje się, że nikt nie dba o to, aby szybko i sprawnie doprowadzić rzecz do końca. Warunki sanitarne pod psym. Znajomi nasi, którzy zamieszkali w pobliżu rynku, opowiadali nam, że na

kilka domów jest tylko jedna ubikacja i w dodatku zlokalizowana „za stodołą”. Rynek, ten piękny kazimierski rynek, przeznaczony został na parking, tak jakby nie było miejsca gdzie indziej. Nic dziwnego, że nie sprzyja to, tak sławionym niegdyś, spotkaniom i biesiadom, które do późna w noc odbywały się właśnie tutaj. Zgiełk, warkot i spaliny samochodowe — oto, co uderza przybysza, wchodzącego dziś na Rynek w Kazimierzu. Gdyby żył Karol Siciński — mówią bywalcy — nie dopuściłby do tego. Prasa lubelska wielokrotnie już biła na alarm, ale ojcowie miasta Kazimierza głowę mają mocną a nerwy odporne. Listy, nadsyłane do Rady Narodowej zarówno przez turystów jak i miejscowych — wrzucane są, bez czytania, do kosza. Co tam ci przybysze z Polski wiedza, a w ogóle niepotrzebnie wścibiają nos w nie swoje sprawy. Restauracja „Esterka” — ohydna, w barze mlecznym nie ma ani mleka, ani kefiru, można natomiast do-

Wymaga to jednak pomyślnego, niełatwego i zaradności, których nie widać. Pewną osłodą była dla nas wizyta u Franciszka Kmita. Ludzie skłonni do przesady (a takich nie brak) mówią o nim: Canaletto Kazimierza. Bo Franciszek Kmita maluje tylko Kazimierz: kamienice, uliczki, ludzi, pejzaż. Obrazy jego zakupują nasi i cudzoziemcy, widziałem zamówienia z Niemiec, Austrii, Holandii i Ameryki. Gdy Kmita sprowadził się do Kazimierza, oddano mu do dyspozycji strych w kamienicze w Ryнку pod numerem szesnastym. Z tego strychu zrobił małe arcydzieło, w którym mieszka i maluje, gości przybyszów i przyjaciół przy zbudowanym własnym przemysłem kominku. Pierwsze miesiące — opowiada Kmita — były ciężkie, ale od początku towarzyszyła mi życzliwość ludzka. Fryzjer za obraz, który mu ofiarowałem, gościł mnie i strzył przez cały rok. Za inny obraz dostawałem przez dłuższy czas obiady w restauracji, a pierwszy pejzaż

trafić powinny. Los Kazimierza nie jest pewny. Umyka tradycja i pozostaje pustka, która ogłusza.

★ ★ ★

Jeśli o Kazimierzu można powiedzieć, że odwiedza go głównie i przede wszystkim młodzież, to Nałęczów staje się coraz bardziej domeną starszych i starych. Przyjeżdżają tutaj ludzie schorowani, przed- i pozawałowy, pobierają kąpiele kwasowęglowe, inhalacje, gimnastykują się, spacerują po parku zdrojowym, siedzą na ławeczkach, karmią iabędzie, wypoczywają.

Nałęczów sprawia korzystniejsze wrażenie niż Kazimierz nade wszystko dlatego, że jest czystszy, co trzeba zapisać na chwałę jego gospodarzy. Z Nałęczowem związane są nierozdzielnie nazwiska Żeromskiego i Prusa, którzy tu kiedyś mieszkali i tworzyli. W dawnym pałacu Małachowskich (herbu Nałęcz) mieści się kawiarnia, biblioteka i czytelnia, ale także muzeum pamiątek po Bolesławie Prusie, którymi opiekuje się polonista i zdolny krytyk literacki Tadeusz Klak. Więcej jednak pamiątek znajduje się po Żeromskim w jego „Chacie” na zboczu malowniczej Góry Armatniej w otoczeniu wyniosłych modrzewi, lip, akacji i białodrzewu, gdzie kustosz zapalony „żeromszczyk” — Stefan Butrym. Zrozumiałe: Żeromski przez pewien czas swego życia mieszkał tutaj stale, natomiast Prus tylko przyjeżdżał, co prawda systematycznie, ale głównie w miesiące letnie. Jest pensjonat „Oktawia”, prowadzony niegdyś przez dzielną i zaradną Oktawię Żeromską, obecnie w posiadaniu ludzi, którzy nie mają zielonego pojęcia ani o Żeromskim, ani o jego żonie Oktawii. Restauracja i kawiarnia, która mieści się na parterze tego pensjonatu, uchodzi w opinii Nałęczowian za coś w rodzaju meliny. Może przesadzają, ale że nie jest to lokal przyjemny — rzecz raczej pewna.

Nałęczów sprzyja pisarzom. Rokrocznie przyjeżdża tu Kazimierz Andrzej Jaworski, Maria Bechczyz-Rudnicka, po opuszczeniu Rożnicy sprowadził się tutaj Waldemar Babinicz, który po śmierci pochowany został na miejscowym cmentarzu (niedaleko grobu Kazimierza Glińskiego). „Dom Waldemara Babinicza” przy ulicy Partyzantów, pięknie na wzgórzu położony, chętnie gości pisarzy, którzy chcą w Nałęczowie odpocząć i pracować. Któregoś dnia spotkaliśmy w alei parkowej Jacka Woszczerowicza (szedł zamyślony i nieobecny z książką pod pachą), a kiedy indziej Konstantego Puzyń. Pojawił się na krótko (jak sen jaki złoty) Wacław Biliński z rodziną, Wanda Karczewska i zapewne inni jeszcze, ale tych innych nie dane nam było spotkać.

I Nałęczów, podobnie jak Kazimierz, ma swoje legendy. Historycy twierdzą, że król Kazimierz Wielki nigdy nie był w Kazimierzu i że nigdy nie postąpił tam noga Esterki, ale nikt w to nie wierzy i legenda utrzymuje się przy życiu, żyć będzie długo, może — wiecznie. W Nałęczowie znajduje się wzgórze Poniatówka od nazwiska Stanisława Augusta Poniatowskiego, który tam ponoć w r. 1797 przebywał. Zburzyły legendę — to wieciej niż zburzyły prawdę. Legenda jest jak powój, który obrasta domy i gościńce. Wyrwieś powój z korzeniami, wyrwieś znowu, jest niezniszczalny. Człowiek potrzebuje legend, które czynią życie bogatsze, ciekawsze i lepsze. A przecież wszyscy chcemy być i bogatsi i lepsi.



Franciszek Kmita: „Rynek w Kazimierzu”.

stać mocno nasolone śledzie. Na sierpniowy upał — w sam raz. Nad Wisłą robotnicy porządkują brzegi i budują bulwar spacerowy. Pięknie. Ale dlaczego wyście rząd starych nadwiślańskich topoli, o których jeden z najznakomitszych swych wierszy napisał Władysław Broniewski — trudno zgadnąć. Drzewa te byłyby ozdobą bulwaru. To nie, że już stare (topole nie żyją długo), z pewnością przetrwałyby jeszcze parę dziesięcioleci. Gdy mówię o tym z ludźmi — machają ręką. Zakochani w Kazimierzu unikają rozmów na ten temat lub zarzekają się, że są tutaj po raz ostatni i nigdy więcej nie przyjadą.

Nie będę więc ukrywał, że to moje pierwsze spotkanie z Kazimierzem bardzo mnie rozczerowało. Przede wszystkim: nieudolność i niedbalstwo gospodarzy, wiodące na każdym kroku. Z miasta, które ma taką sławę, do którego zjeżdżają ludzie z całego kraju i zza granicy, można by uczynić cudo, prawdziwą Mekkę.

kazimierski zakupiła u mnie ekspedientka. Bardzo byłam z tego dumna. Szczegółowo te pewien Amerykanin polskiego pochodzenia ogłosił w gazecie ukazującej się w Chicago. Kmita pokazuje wycinek. Czytam i nie dziwię się. W Ameryce lubią takie rzeczy. Jest w tym coś z pionierstwa i karier amerykańskich artystów, co wzrusza i w egzystencji pomaga.

Franciszek Kmita ogłosił przed paroma laty na łamach gazety lubelskiej swoje uwagi o teraźniejszości i przyszłości Kazimierza. Uważa on, że Kazimierz ten, który jest, winno się pozostawić w stanie nienaruszonym i niezmiennym jako zabytek, jako swoiste muzeum pod gołym niebem, natomiast rozbudowę miasta przenieść na drugą stronę Wisły. W ten sposób dałoby się ocalić przeszłość i stworzyć perspektywę dla tego, co nieuchronnie nadchodzi. Uwagi Kmity są proste i celne. Może dlatego celne, że proste. Ale nie trafiają one tam, gdzie

KAROL BADZIAK

Do Sopotu jada wozy kolorowe

TO NIE BYŁ PRZYPADKEM, ŻE PIOSENKA „JADA WOZY KOLOROWE” STAŁA SIĘ PRZEBOJEM SOPOCKIEGO FESTIWALU. RZECZYWIŚCIE ZJECHAŁO TU TYŚCIĄCE WOZÓW KOLOROWYCH, WŚRÓD KTÓRYCH CZERNY LIMUZYN NIE NALEŻAŁA DO WYJĄTKÓW. ZMIENIŁO TO ZUPEŁNIE PEJZAŻ TRÓJMIĘSTA, DAJĄC PRZEDSMAK TEGO, CO NAS CZEKA W ZMOTORYZOWANEJ PRZYSZŁOŚCI.

Sam Sopot — letnia stolica Polski — zmienił się w europejską stolicę piosenki z wszystkimi konsekwencjami wynikającymi z takiego krótkotrwałego awansu. Wszędzie zabrakło miejsca, w hotelach, restauracjach i na parkingach. Orbis odesłał z kwitkiem tysiące turystów zagranicznych, sekretariat Festiwalu odmówił miejsca setkom obserwatorów, zainteresowanych przemysłem rozrywkowym. Napór gości był tak ogromny, iż odnosiło się wrażenie, iż rozsadzą oni i zdemolują miasto. Kolorowe mrowisko ludzkie, choć bardzo ruchliwe, nie było jednak bardzo agresywne. A jak ci wszyscy ludzie się tutaj zmieścili — pozostanie na zawsze tajemnicą naszego sprytnego gatunku.

Międzynarodowa popularność sopockiego Festiwalu Piosenki przerosła po prostu i ramy organizacyjne imprezy i możliwości lokalowe całego Trójmiasta. Co prawda już dość dawno obliczono z ołówkiem w rękę, że największe straty naszemu krajowi przynosi oszczędność na budownictwie hotelowym. Okazuje się, że bez inwestycji nie ma żadnego przemysłu, w tym również turystycznego, a nawet rozrywkowego.

Na konferencji prasowej przedstawiciel „Ars Polona” chwalił się, że podczas Festiwalu jego przed-

siębiorstwo sprzedało płyt za 60 tysięcy złotych dewizowych. Wtedy wstał przedstawiciel Orbisu i oświadczył, że z powodu braku miejsc w hotelach jego przedsiębiorstwo nie zarobiło kilkunastu milionów dolarów. Wynika z tego niedwuznacznie, że Festiwal w sensie muzycznym jest faktycznie imprezą międzynarodową, ale w sensie turystyczno-handlowym jest imprezą zaściankową. Z braku własnych możliwości i kontaktów handlowych Agencja Autorska prawa repertuarowe polskiej piosenki na Europę sprzedała hurtem pewnej zagranicznej firmie.

Otóż przemysłem rozrywkowym rządzą te same prawa co każdym innym przemysłem. Jeden ze znanych impresariów zachodnich, obecny na Festiwalu w Sopocie oświadczył, że na to, aby zrobić z nadwiślańskiego Niemena światową gwiazdę, należałoby zainwestować w jego reklamę ponad pół miliona dolarów. Nikt tego u nas nie zrobi, nawet Pagart, dlatego nigdy nie będziemy mieli światowych gwiazd. Gwiazdy światowe produkują się tak samo jak mydło, proszek do prania, czy obrabiarki. No, może akurat nie tak samo. Na przykład gwiazda światowa Brigitte Bardot przynosiła w swoim czasie Francji więcej dewiz rocznie niż Polsce przynosi

produkcja eksportowa Zakładów im. Juliana Marchlewskiego. Takie jest życie.

Nasz przemysł rozrywkowy tylko w formie jest zachodni (długie włosy piosenkarzy, wrzask na estradzie), w treści (ekonomicznej) jest swojski, to znaczy nierentowny. Wprawdzie Festiwal Sopotki, który tego przemysłu jest imprezą największą, nie przynosi deficytu, lecz korzyści, poza propagandowymi, również żadnych nie daje. Zresztą i korzyści propagandowe dość wątpliwe. Ale jak mówi armeński przysłowie: jeśli wszyscy śpiewają na jedną nutę, to na sens nikt nie zwraca uwagi.

Ponieważ Festiwal był transmitowany przez radio i telewizję, zwalnia mnie to niejako z obowiązku składania dokładnej relacji. Zresztą w telewizji, dzięki przeróżnym zmyślnym trickom, przebitkom i dokretnom Festiwal był o wiele ciekawszy i atrakcyjniejszy niż tam na miejscu w Operze Leśnej. Parę słów więc imprezom towarzyszącym.

Najoryginalniejszy wydał mi się spektakl w Teatrze Letnim „Mro wisko”. Rzecz supernowoczesna, z wykorzystaniem najnowszej techniki optyczno-akustycznej, skojarzenie dźwięku, ruchu i pulsującego światła, w postaci tzw. krzyża maltańskiego, który jest naj-

nowszą nowinką techniczną stosowaną w promoshow i musicorammie. W tym wypadku zastosowano go do pantomimy, uzyskując niesamowitą ekspresję tańca.

W bocznym skrzydle Grand Hotelu odbywały się codziennie nocne seanse muzyczne z dyskoteką, którym również towarzyszyło to pulsujące światło. Efekty są fantastyczne, zabawa rzeczywiście wysmienita. Całość nosi właśnie nazwę Musicoramy i jest najnowocześniejszym rodzajem rozrywki, zwłaszcza młodzieżowej. Wróżę, iż za parę lat wszyscy będziemy się w ten sposób bawili. Zabawa ta wymaga jednak dużej kondycji fizycznej i odporności psychicznej, gdyż nagranie dysko teki trwa około 50 minut i odbywa się przy absolutnym zaciemnieniu sali, więc trzeba przychodzić raczej z własną butlą tlenową. Musicorama oszalała, wprawdzie w trans, wyzwała wszelkie atawizmy i dowodził bezapelacyjnie, że kiedy człowiek zszedł z drzewa, to najpierw zatańczył i zaśpiewał, potem była długa, długa przerwa, wreszcie poszedł do pracy.

Olbrzymi renesans piosenki i pysznej zabawy na całym świecie

Dalszy ciąg na str. 8

Wojna w oku kamery

Kiedy dowiedziałem się, że profesor Władysław Jewsiewicki pisze książkę o polskim filmie — z okna II wojny światowej — pomyślałem, że trzeba uporządkować i wytrwać nie lada, aby zebrać rozrzucone po świecie te wszystkie fakty, dokumenty, wspomnienia przyspane już kurzem ćwierćwiecza. Ale profesor Jewsiewicki filmem zajmuje się nie od dziś — więc i praca nad książką, choć powoli, posuwała się naprzód.

Najpierw powstał skrypt dla potrzeb studentów Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej. „Były trzy egzemplarze tego skryptu — mówi profesor Jewsiewicki — ale studenci lojalnie uprzedzili, że przynajmniej jeden egzemplarz „zginie”, bowiem jest to lektura pasjonująca i nie mają ochoty czekać, aż rzecz się ukaże w druku”. I rzeczywiście. Jeden egzemplarz zginął — jest zapewne w nieustannym czytaniu...

Obecnie w „wydawniczej kuchni” przygotowuje się książkowa wersja dzieła pt. „Wojna w oku kamery”. Polskie wojsko walczyło na wschodzie i zachodzie, na południu i północy — a wszędzie towarzyszyła mu kamera filmowca-żołnierza. Jak zebrać ten przebogaty materiał, jak dokonać historycznych ustaleń, jak sprawdzić fakty...

Czwierć wieku to jednak szmat czasu i pamięć ludzka jest zawodna i dokumenty. Właśnie. W ogniu wojny ktoś by się bawił w dokumentację udziału filmowca. Więc dokumentów niewiele — a jeśli nawet są to gdzieś w stertach innych archiwaliów Wojskowego Instytutu Historycznego. Aby się do nich „dokopać”, profesor Jewsiewicki tygodniami szperał w stertach dokumentów, by zdobyć potwierdzenie drobnego nierzadego faktu, wydarzenia.

A gdy brak dokumentów — pozostaje tylko ludzka pamięć. Taki choćby przykład. Jeden z filmowców-żołnierzy twierdzi, że nakręcił film — niejako rekonstrukcję skoku Polskiej Brygady Spadochronowej pod Arnheim. Było to już po wojnie, kiedy Brygada stacjonowała w Darmstadt

w Niemczech Zachodnich. Ów filmowiec — obecnie wicedyrektor wytwórni filmowej w Argentynie — twierdzi, że kręcił film na prośbę jednej z kompanii Brygady. Film zresztą zaginął jak zaginęło wiele filmów — wiele z nich zresztą utknęło w Instytucie im. Sikorskiego w Londynie, gdzie nieskatologowane, niezabezpieczone, często nawet w postaci niewywołanych negatywów czekają... Na co? Na kompletne zniszczenie?

Jeden z wysokich działaczy londyńskiej emigracji powiedział wprost: „nie ma ludzi, nie ma pieniędzy i nie ma odpowiednich pomieszczeń. Nie jesteśmy w stanie zorientować się, jaki materiał filmowy jest w naszym posiadaniu i nie jesteśmy w stanie określić terminu kiedy taka orientacja nastąpi”. Czy nie czas, aby dokumenty filmowe polskiego wysiłku zbrojnego wróciły do kraju? Ale to na marginesie. Wróćmy do Brygady Spadochronowej gen. Sosabowskiego.

Otóż autor filmu-rekonstrukcji desantu pod Arnheim twierdzi, że dokument taki powstał. Natomiast żyjący w Polsce — szef sztabu brygady płk Kamiński twierdzi, że nie mu nie wiadomo o takiej realizacji. Jak było naprawdę? Czy możliwe, aby bez porozumienia z dowództwem kręcono film w jednostkach? Jakie stanowisko ma zająć historyk dokumentujący tamte wydarzenia?

Bo przecież film — zwłaszcza w czasie wojny — to nie była bawa — to był przede wszystkim dokument. Przecież dzięki filmowi profesor Jewsiewicki odkrył, że Polacy weszli do akcji w kampanii włoskiej nie w lutym jak się dotąd sądzi — lecz już w grudniu, a komandosi jeszcze w listopadzie w bitwach nad rzeką Sangro. Są na to filmowe dokumenty.

„Musimy wreszcie się zgodzić z tym — mówi prof. Jewsiewicki — że historię II wojny światowej pisał film”.

Ale jak odnaleźć ludzi, którzy tworzyli tamte dokumenty, którzy ową historię pisali czulym okiem kamery? Niełatwa to była sprawa — wymagająca niekiedy wprost detektywistycznych zabiegów. Właśnie na przykład, że kierownikiem sekcji filmowej w Dywizji Pancerniej gen. Maczka był por. Jerzy Januszajtis. Wiadomo, że filmował z czołgu natarcia Dywizji w Belgii i Holandii. Profesor Jewsiewicki widział te filmy kręcone z niebywałą odwagą i brawurą. Nie znał jednak ich autora i nie mógł go zapytać — już nie jako historyk, ale po prostu, po ludzku — czy się wtedy nie bał. Potem, kiedy nastąpiło wreszcie spotkanie — Januszajtis na to pytanie odpowiedział: „ano cóż, miałem wówczas 20 lat...”

Ale zanim do tego spotkania do szło? Zanim Jerzy Januszajtis przyjechał po 25 latach do Warszawy?

Profesor Jewsiewicki przeczytał kiedyś w gdańskich „Literach” reportaż z Politechniki. Natknął się w nim na nazwisko „doc. dr Janusz Januszajtis”. Napisał do Gdańska z pytaniem o porucznika-filmowca z Dywizji Maczka. Przyszła odpowiedź — docent Januszajtis nie znał adresu swego krewnego, ale podał adres gen. Mariana Januszajtisa mieszkają-

cego w Nowym Jorku. Poszedł więc list do Nowego Jorku i przy szła stamtąd odpowiedź: „mój syn Jerzy mieszka w Londynie, adres...” Więc wreszcie list do Londynu, korespondencja, masa informacji, zdjęcia... Jedna z kilkudziesięciu teczek ułożonych na podłodze pokoju profesora wzbogaciła się o nowe szczegóły.

Albo inaczej. Adres byłego kierownika Biura Filmowego w Londynie otrzymał profesor Jewsiewicki bez trudu. Niestety na listy nie było odpowiedzi. Adres był dobry — listy nie wracały, ale inż. O. nie chciał odpowiadać. Dopiero przypadkowe spotkanie z innym kombatantem mieszkającym dziś w Argentynie przyniosło rozwiązanie: „Niech się pan powoła na mnie — na pewno odpiszę”. I rzeczywiście. Znowu jedna z teczek profesora Jewsiewickiego wzbogaciła się o nowe informacje — ale od chwili otrzymania adresu do pierwszej odpowiedzi minęło... dziewięć lat.

Wojna rozwlokła ludzi po świecie — Andrzej Ruszkowski, który w roku 1941 kierował sekcją filmową we Francji jest dziś profesorem Uniwersytetu w Limie w Peru, Józef Lejtes autor — filmu „Od Homs do Tobruku” — przed wojennym reżyser — odnalazł się w Hollywood w Biurze Usług Filmowych, Franciszek Oża współpracownik pierwszego chyba filmu polskiego po klęsce wrześniowej „Jeszcze Polska nie zginęła” — jest w Chicago...

Z filmem tym wiąże się zresztą piękna postać Kazimierza Karasiewicza — operatora przedwojennej Polskiej Agencji Telegraficznej. Młody wówczas filmowiec wyjechał w 1938 roku do USA na światową wystawę w Nowym Jorku. Wybuchła wojna — został. Ale kiedy we Francji poczęto tworzyć polską armię, Karasiewicz z Ożą przyjechali z własnym sprzętem do Paryża — słusznie przewidując, że wojsko w broń może być gacie, ale w sprzęt filmowy na pewno nie. Nakręcili wówczas film „Jeszcze Polska nie zginęła” — potem po klęsce Francji wyjechali do Anglii. Stamtąd jednak Karasiewicz wrócił do USA — wstąpił do lotnictwa i... dalej filmował.

W czasie spotkań „na szczytach” w Casablance, w Teheranie wśród członków ekip towarzyszących można było spotkać przystojnego młodego człowieka w mundurze armii amerykańskiej. Casimir Karas — Kazimierz Karasiewicz filmował wydarzenia w

najbardziej newralgicznych miejscach II wojny. Zginął w roku 1944 — kręcąc z samolotu walkę powietrzną, jak na ironię losu — nie prawdziwą lecz fingowaną, a za partnerów miał lotnika brazylijskiego, niedoświadczonego chłopaka, który nie zdążył nawet wziąć udziału w prawdziwej wojnie. Brazylijski lotnik wyskoczył na spadochronie z rozbitego samolotu — Kazimierz Karasiewicz już nie zdążył...

Do brata bohaterskiego lotnika — filmowca dotarł profesor Jewsiewicki dzięki Franciszkowi Ożdzie — obaj mieszkają w Chicago — do pozostałej rodziny mieszkającej w Polsce, dzięki... książce telefonicznej.

Znowu jedna z kart książki pisanej przez polskiego historyka zapisana została piękną biografią żołnierza-filmowca — Polaka.

Niedawno ukazała się w Polsce książka Wiktora Ostrowskiego pt. „Wyżej niż Kondory”. Autor — stale mieszkający w Argentynie — przyjechał do Polski. Dla profesora Jewsiewickiego ten świetny pisarz-alpinista i filmowiec jest kopalnią historycznych informacji. Był wszak Ostrowski filmowcem w polskiej armii od Buzuluku do Bolonii — filmował w czasie wszystkich kampanii, kręcił pod Monte Casino. Według świadectwa Ostrowskiego pod Monte Casino filmowano „bitwę” sceny dopiero... po bitwie. W trakcie było to niemożliwe — widoczność polskich pozycji z klasztoru była ponoć tak świetna, że każdy błysk obiektywu w słońcu powodował błyskawiczną reakcję snajperów lub namiar hitlerowskiej artylerii. Podobnie było zresztą pod Tobrukiem, gdzie wydano zakaz wykonywania zdjęć i odebrano oficerom nawet zwykłe aparaty fotograficzne.

Ze stosu kilkudziesięciu teczek ułożonych pod ścianą pokoju profesora Jewsiewickiego powoli wyłania się syntetyczny opis historyka. Z setki listów, notatek, fotostopów rodzi się książka o tym, jak polski film notował wysiłek zbrojny.

Potrzebna jest taka książka nie tylko jako dokument ciągłości historii polskiego filmu — także w latach gdy umilkły muzy. Wówczas gdy film-sztuka przerodził się w film-dokument. Potrzebna jest taka książka, bo jest to także nie znany jeszcze a pasjonujący fragment dziejów DRUGIEJ WOJNY. I także po to aby młodzi ludzie nie zapisywali się w kolejce do czytania akademickiego skryptu.

W następnym numerze „ODGŁOSÓW”:

- ★ MARIA KUNCEWICZOWA — „Fantomy”
 - ★ JAN HUSZCZA — Odwiedziny u bliskich
 - ★ KAZIMIERZ PASZKOWSKI — Ze wspomnień
- wydawcy
oraz
felietony, recenzje, nowela kryminalna.

POLONICA

FRANCUSKA KSIĄŻKA
O MICKIEWICZU

Paryskie wydawnictwo Pierre Seghers opublikowało książkę Leona Kołodzieja, profesora literatury porównawczej w Oranie, poświęconą Mickiewiczowi. Znajduje się tutaj obszerny wstęp biograficzny napisany przez prof. Kołodzieja, a także przekłady z „Ballad i romansów”, „Konrada Wallenroda”, „Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa”, „Dziadów”, „Pana Tadeusza” itd. Są to tłumaczenia dokonane przez Merimégo, Montalemberta, Władysława Mickiewicza, Piotra Napoleona Bonapartego („Do Matki Polki”), Burgaud des Marets, ale i nowe, m. in. autora monografii. Całość uzupełniają tabele pt. „Adam Mickiewicz i jego epoka” oraz bibliografia, niestety niekompletna (brak tu m. in. kapitalnej książki Juliana Przybosa „Czytając Mickiewicza”).

(W. N.)

„ODWIECNE POWINOWACTWA”

Pod tytułem „Les affinités séculaires” („Odwieczne powinowactwa”) omówiła Anette Vaillant książkę Wojciecha Natansonna „Z różą czerwoną przez Paryż”, na łamach paryskiego tygodnika „Nouvelles Littéraires” z 30 lipca 1970 r. Autorka recenzji wspomina o Kochanowskim i jego spotkaniu z Ronsardem, o rozdziale książki poświęconemu Mickiewiczowi, jego przyjaźniach z George Sand, Lamartinem i Micheletem, o sukcesie francuskim „Quo Vadis?”. Dodaje, że Montberlant w najnowszej swej książce „Le Trézème César” raz jeszcze wraca do Sienkiewicza, pisząc jak mocno wrażenie na nim wywarł „fresk Rzymu z okresu Nerona”, zawarty w „Quo Vadis”. Spo-ro miejsca zajmuje w tej recenzji współpraca polskich nowatorów z polskimi poetami i plastykami tej miary co Léger, Picasso, Marcoussis, Tzara, Desnos, Ribbémont-Dessaignes, Max Jacob, w piśmie „L'Art Contemporain” — „Sztuka współczesna”, redagowanym przez Jana Brzękowskiego.

(L. B.)

POLONICA

ZOFIA TARNOWSKA

Rachunek za wódkę

PRZEGLĄDAŁAM NIEDAWNO INFORMACJĘ O DZIAŁALNOŚCI ODDZIAŁU WOJEWÓDZKIEGO SPOŁECZNEGO KOMITETU PRZECIWKOHOŁOWEGO W ŁODZI ZA UBIEGŁY ROK. JEST TAM DUŻO DANYCH ILLUSTRUJĄCYCH OGROMNE WYSIŁKI W WALCE ZA ALKOHOŁIZMEM. MIĘDZY INNYMI INFORMACJA ZA WIERA ROZLICZENIA BUDŻETOWE.

W jednej z rubryk zanotowano: na pomoc dla rodzin alkoholików — 81 ty-

się złotych. W innym rozdziale rozrachunku finansowego uderza pozycja: na zaobieganie alkoholizmowi wśród dzieci i młodzieży wydatkowane — około 2 milionów złotych. Działalność prowadzona poprzez organizowanie: obozów letnich dla dzieci i młodzieży ze środowisk alkoholików zarejestrowanych w poradni przeciwalkoholowej lub z rodzin zagrożonych alkoholizmem, moralnie zaniedbanych. Prowadzono dożywnie dzieci w szkołach, udzielano im materialnej pomocy

itp. Wszystkie te formy pomocy organizowane były wspólnie przez poradnię przeciwalkoholową, powiatowe, miejskie lub społeczne komitety, Ligę Kobiet, wydziały oświaty, TPD, ko misje społeczno - lekarskie, a nawet MO.

Poza tym wydano 2.700 tys. złotych na działalność uświadamiającą - propagandową; odczyty, prelekcje, ulotki, plakaty, broszury, filmy, audycje radiowe i telewizyjne, wystawy, imprezy, „Tygodnie Trzeźwości”, itp. itd. — bezpośrednio i pośrednio.

Wszystko jest w porządku. Może nawet za mało pieniędzy wydatkowano na ten cel? Nie wiem, ale czy te środki wiodą do celu? Potwierdzenia nie widzę w praktyce życia. Widzę natomiast coś innego: systematyczny wzrost spożycia napojów alkoholowych, coraz drastyczniejsze i dramatyczne skutki alkoholizmu, morze nieszczęść, śmierci, wypadków, nędzy, rodzin, chorób dzieci...

W Polsce zarejestrowano 1,5 miliona pijaków. Co najmniej milion z nich pracuje. Obliczono, że pijacy opuszczają w roku od 35 do 75 dni z powodu chorób i innych przyczyn nie usprawiedliwionych. (Przeciętna absencja dla pozostałych pracowników wynosi 15 dni). Jeżeli te opuszczone dni pomnożymy przez ilość osób i przeliczymy na straty produkcyjne, to wyjdzie ładna sumka. Ale to nie wszystko. Okazuje się, że alkohol jest przyczyną około 18 procent wypadków przy pracy — to jest 30 tys. wypadków. Obliczono, że jeden wypadek przy pracy powoduje straty gospodarcze w wysokości 50 tys. złotych. Pomnożmy. I to jeszcze nie wszystko. Ludzie pijący często i duże ilości alkoholu są słabi, a wydajność ich pracy niższa. I tu doliczno się efektywnych strat: zmniejszona wydajność wynosi 5 tys. złotych na osobę, 5 tys. złotych razy milion owych osób równa się 5 miliardom. Podsu-

mowując generalnie cały rachunek, wyliczono 10 miliardów złotych. I tak przyska mit o dochodzie narodowym ze sprzedaży alkoholu, a wyrasta rachunek strat.

Na taki rachunek — czyżto ekonomiczny, pomijając wszystkie inne straty moralne i zdrowotne oraz rzeczowe (kalectwo, renty itp.), należy spojrzeć przez pryzmat uchwały V Plenum i ocenić w tym kontekście formy walki z alkoholizmem.

Wracajmy teraz do innejgo rozdziału cytowanej informacji o wojewódzkiej działalności antyalkoholowej. Dotyczy on leczenia zamkniętego dla alkoholików. Oddział leczenia odwykowego w Warcie, gdzie lokuje się także alkoholików na skutek orzeczeń sądów, liczy niezmienne od kilku lat... 28 łóżek. Podobnie jest z oddziałem łódzkim. Baza łóżkowa jest absolutnie niewystarczająca. Przeciętny pobyt chorego wynosił 77 dni. W ubiegłym roku czas

pobytu został znacznie skrócony i wynosił 60 dni, co było i jest nadal podyktowane koniecznością przyjmowania większej ilości chorych, czekających na przyjęcie, a skierowanych przez terenowe poradnie przeciwalkoholowe. Oczekiwanie na miejsce w takim oddziale jest niedopuszczalne, bo oznacza powrót do nałogu. Zaprzepaszczone jest szansa wyleczenia. Prawdę mówiąc, ta szansa jest zawsze problematyczna, ale jednak jest, zwłaszcza w wypadkach dobrowolnego poddania się leczeniu.

Ustawa przeciwalkoholowa z 19 grudnia 1959 roku zobowiązuje „rady narodowe wojewódzkie oraz miast wydzielonych do organizowania i prowadzenia zakładów leczenia zamkniętego dla nałogowych alkoholików” (art. 12 par. 1). I dalej: „do nałogowych alkoholików, którzy swoim postępowaniem powodują rozkład życia rodzinnego, demoralizują nieletnich, zagrożają bezpieczeństwu otoczenia

Hippies po angielsku

Dalszy ciąg ze str. 1

jazdu. Nie powiem, żeby efekt był imponujący, o żadnym porządku nie mogło być mowy, ale tam gdzie gospodaruje gromada chłopaków i jedna dziewczyna — w ogóle o porządek bywa bardzo trudno — nie tylko u hippiesów. Podejrzewam, że cztery tygodnie naszego pobytu były dla naszych gospodarzy okresem nadludzkiego wysiłku dla utrzymania jakiejś takiej schludności w mieszkaniu. Mimo to byli dla nas bardzo gościnni, mili, przyjaźni, służyli pomocą na każdą naszą prośbę. W ogóle byli gościnni i przyjaźni. Do dziś na przykład nie wiem ile osób zamieszkiwało to mieszkanie. Ponieważ mniemam, że właścicielka lokalu, podobno bardzo niemila landlady nie czytuje „Odgłosów”, ośmieliłem się powiedzieć, że codziennie przewijały się tamteży tłumy białych i kolorowych młodzieńców, którzy korzystali z wakacyjnej gościnności naszych hippiesów. Landlady bardzo tego nie lubi, kto nie płaci, nie ma prawa mieszkać.

Towarzystwo życia domu koncentrowało się we wspólnym pokoju, gdzie jadano popołudniowy posiłek — dinner, oglądano telewizję, grano w szachy. Ludzie siedzieli głównie na podłodze, a na tapczanie i kanapie — psy, albowiem nasi gospodarze posiadali dwa psy — rodzeństwo bliźniaczo do siebie podobne. Patefon z potężnym głośnikiem działał przez całą dobę z przerwą na kilka godzin nocnych, które trwały gdzieś od 4 nad ranem do 11 kolo południa. Upodobanie do głośnej i przenikliwej muzyki jest (moim zdaniem) jedną z podstawowych wad angielskich hippiesów. Młodzi ludzie próbowali także grać na różnych instrumentach, jak np. trąba i gitara, z dość miernym jednak artystycznym efektem.

Nic dziwnego, że w tej sytuacji psy były całkiem zwariowane, nerwowe i hałaśliwe. Bardzo nie lubiły naszego języka angielskiego, który przymowały z prawdziwą nieufnością, bardzo natomiast lubiły naszą polską kiełbasę. Stąd ich nie bardzo sprecyzowany stosunek do nas. Suczka, o łagodniejszym charakterze, zdecydowała się ostatecznie na przyjaźń, pies natomiast, skradłszy z naszego pokoju ostatni kawałek kiełbasy, stał się definitywnie naszym wrogiem. Co jednakże nie miało wpływu na ogólną atmosferę przyjaźni panującą między nami, a gospodarzami.

Zdaje sobie sprawę, że nie jest dziś zbyt popularne wyrażać się o hippiesach dobrze. Dziś, gdy toczy się proces Mansona, gdy do rozpedzania tłumy manifestujących hippiesów w Amsterdamie musiała wkroczyć policja i wojsko, gdy długowłosi demolowali sklepy i urzędy. Ale wydaje mi się, że jest to już dziś zjawisko zbyt masowe, obejmujące zbyt szerokie kręgi młodzieży, by można je było określić jednoznacznie.

Czy w Londynie są hippiesi? — pytają mnie znajomi. Wyłącznie — odpowiadam. Bo istotnie takie wrażenie sprawia ulica londyńska. Tłumy kolorowo ubranej, długowłosej młodzieży (a wyrasta ta młodzież imponująco, chłopcy wysocy, dobrze zbudowani, dziewczęta niewiele niższe, smukle długonogie), często bosonogie, czasem ubranej niedbale, czasem wręcz niechlujnie teraz, w okresie lata, dominują nad londyńską ulicą. Płeć nierzadko naprawdę trudna do odróżnienia, chłopcy i dziewczęta ubrani podobnie, tu kawałek franki, tam kawałek gołej skóry, do tego coś z futra i blachy. Mnóstwo blaszanej biżuterii, na każdym palcu co najmniej jedno kółko, wszystko jedno z czego. Jak mini, to super — właściwie nie wiadomo co ono zakrywa, jak maxi — to rekompensata za wszystkie mini z Wysp Brytyjskich. Starsze panie gorszą się ostatnio nie mini lecz maxi. Kwestia przyzwyczajenia.

Ludzie interesu podchwycili modę. I w centrum miasta i na peryferiach znajdują się całe ciągi handlowe przeznaczone dla młodzieży. Wśród nich olbrzymie magazyny, które na zewnątrz anonsują się hałaśliwą muzyką. Pozwolił mi sobie zwiędzić jeden z nich. Można w nim kupić wszystko od kosmetyków, odzież po przedmioty gospodarstwa domowego, meble, kwiaty i sadzonki. Wszystko jest specjalne, inne niż „normalne”, pod młodzieżową modę. Wszystko znacznie droższe niż w zwykłych sklepach. W powietrzu unosi się zapach kadzidła i jakaś atmosfera wtajemniczenia. Młodzież kupuje, młodzież obsługuje stoiska. Jedni i drudzy jacyś senni, ospali, niechętnie patrzący na intruzów.

He jest w tej pozie, w tej zewnętrznej ostentacji niebezpiecznej dla otoczenia ideologii, czy w ogóle jest jakaś ideologia? Starałem się wyjaśnić mi to pewien młody człowiek o imponująco wyhodowanych włosach i ascetycznej twarzy. Rozmawiałem z nim bardzo łatwo, albowiem był to student polski, przebywający w Londynie na stypendium. Jego zdaniem cały problem został zwulgaryzowany i wypaczony przez amerykańską propagandę. Bo ruch hippiesowski powstał w Stanach Zjednoczonych jako protest przeciwko polityce rządu amerykańskiego, przeciw wojnie w Wietnamie, obskurantyzmowi i zacofaniu. Aby skompromitować ten ruch propaganda amerykańska wykorzystwała sprawę Mansona i utożsamiała ją z wszystkim co — hippie.

Może to i prawda, ale taką samą prawdą jest fakt, że hippiesi narkotyzują się masowo i jawnie, że wśród czołowych hasel realizują hasło „nic nie robić”, które jest nadszyciem wątpliwą metodą walki z imperializmem. Ze hasła propagowane przez hippies mogą prowadzić i często prowadzą do degeneracji i przestępstw.

Nie umiem powiedzieć, w jakim stopniu młodzi brytyjscy długowłosi podjęli ideologię amerykańską i czy ją w ogóle podjęli. Podejrzewam, że raczej przejęli zewnętrzne formy stylu bycia, sposób ubierania się, bycia. Jeszcze raz powtórzę, że wobec masowości tego zjawiska, trudno o ocenę jednoznaczną.

Pomimo upodobania moich gospodarzy do hałasu, nie słyszałam w ciągu czterech tygodni, by któryś z nich podniósł głos, krzyknął. Natomiast mieszkająca w oficynie vis a vis młodzież wcale nie długowłosa wrzeszczała straszliwie i to podczas najnormalniejszej rozmowy towarzyskiej.

Kiedy pewnego dnia, pod nieobecność gospodarzy uciekł nam z domu pies i w żaden sposób nie chciał wrócić, a moja przyjaciółka po półgodzinnej obławie, zor-

ganizowanej przy pomocy przypadkowych przechodniów, zrezygnowana wróciła sama do domu, z nieoczekiwaną pomocą przysłała piękna hippie — sąsiadka, ubrana w imponującą maxi, z futrzaną czapą kosaćka na głowie (sierpniowa upalna niedziela) prawdopodobnie wybierająca się na randkę. Za pomocą metod pedagogicznych przywabiała psa, potem żeby uspokoić go nerwowo, wzięła na półgodzinny spacer, a gdy bydle mimo całej tej pedagogiki nie chciało wrócić do domu, siedziała z nim na schodach aż do powrotu właścicieli. I czy w takiej sytuacji można o hippiesach jednoznacznie?

Zwykło się mówić, że młodzież angielska jest bogata, że może pozwolić sobie na ekstrawagancje i kupowanie swoich szmat i swoich magnetofonów w swoich bardzo drogich sklepach. Ale niecała młodzież brytyjska jest bogata. Hippiesowski styl bycia: ubieranie się w byle co, chodzenie bos, nieprzestrzeganie konwencji, jest dla uboższej młodzieży wygodne, zaciera różnicę między bogatymi a biednymi. Hippiesem można być za bardzo dużą forszę, ale można być też za najmniejszą. A to jest dla niezamożnych studentów wygodne. Efekt zewnętrzny jest bardzo trudny do odróżnienia. Poznałam w Londynie bardzo spokojnego, kulturalnego hippiesa. Absolwent szkoły plastycz-

nej, w kuchni, domowym sposobem robił jakieś próby wzorów na tkaniny. Kiedy kończył pracę, w domu odbywała się wystawna kolacja. Przypadkiem dowiedziałam się, że od dwóch lat nie może dostać stałej pracy. Myślę, że gdyby ją miał, chętnie ostrzygłby włosy i włożył ciemny garnitur.

Stara, konserwatywna, a przecież liberalna Anglia wstydzi się swoich długowłosych, choć ich toleruje, bo nie ma innego wyjścia. Ale nie ma długowłosych studentów na wyższych uczelniach (z wyjątkiem bodajże szkół artystycznych), nie ma w biurach, urzędach, placówkach służby zdrowia, nie ma w sklepach. Brytyjczyści hippiesi będą musieli wyrosnąć ze swoich długich włosów i krótkich swetrów jeśli będą chcieli zdobyć w kraju jakąś pozycję społeczną. A poza tym — czy jest coś śmieszniejszego i smutniejszego zarazem niż żyjący hippie, albo hippieska z kurzymi łapkami pod oczyma?

James wrócił do Londynu przed naszym wyjazdem. Przywiózł nowe słowniki i podręczniki do nauki polskiego oraz dwa słoiki konfitur od pewnej pani z Warszawy dla jej rodziny w Londynie. Konfitury sfermentowały mu w walizce. Nie poskarżył się ani słowem. Powiedział, że to świetne konfitury. Anglicy są bardzo dobrze wychowani.

TERESA WOJCIECHOWSKA



albo zakłócają systematycznie spokój lub porządek publiczny, stosuje się leczenie przymusowe w zakładach lecznictwa otwartego i zamkniętego (art. 13). Ustawa określa także termin pobytu w zakładzie leczniczym zamkniętego: „pobyt trwa tak długo, jak tego wymaga cel leczenia, nie może jednak przekraczać dwóch lat” (art. 16).

Zakłady zamknięte lecznictwa odwykowego... Ustawa działa 10 lat, a Łódź i województwo dysponują dwoma oddziałami przy szpitalach psychiatrycznych — w sumie kilkadziesiąt łóżek o przelotowości fantastycznej. Dwa miesiące i pacjent może wracać do... picia.

Był przed laty zakład w Głazie. Zorganizowało go województwo. Sama usadniałam na łamach „Odgłosów” konieczność powstania zakładu z długoterminowym leczeniem, z zapleczem gospodarczym, służącym do terapii zajęciowej i samodzielności budżetowej. Co więcej — do zarobkowania przez

pacjentów i przekazywania wypłat rodzinom. Zakład przy dobrej organizacji mógłby być dochodowym. Głaz się „rozleciał”. Podparły dobrą wolą, a nie karnym rygiem — nie mógł się ostać. Mamy więc dużo alkoholików, wymagających leczenia, dużo rodzin, wymagających opieki i pomocy, dużo milionów złotych na propagowanie trzech wości za pomocą broszur, plakatów, imprez i audycji radiowych i telewizyjnych. Mamy nawet fundusze na nagrody dla aktywistów w walce z alkoholizmem. No i mamy coraz częściej takie tytuły w gazetach: „Sprzedał 2.130 litrów wódki w zakładach mięsnych”, „Nalógowy alkoholik chciał zabić żonę”, „Utonęli po pijanemu”, „Wódka przyczyną tragedii rodzinnej — na 25 lat skazano synobójcę”, „Ojciec alkoholik zabił 17-letniego syna”. To są wstrząsające doniesienia o dramatach, które miały miejsce na przestrzeni kilku ostatnich miesięcy w Łodzi. O „małych”

wypadkach pobić, awantur rodzinnych, napaści i burze niu porządku publicznego po pijanemu pisze się codziennie w małych notatkach lub w jednej notatce o... kilku wypadkach.

Alkoholizm kwitnie, szerzy się na gruncie naszej tolerancji, humanizmu, wyidealizowanych stosunków międzyludzkich tam, gdzie nie trzeba. Walka z alkoholizmem opiera się finansowo — o paradoksy — na dopłatach do wódki. Ponadto na składkach członków komitetów przeciwalkoholowych wszystkich szczebli. I to nas w pewnym sensie satysfakcjonuje. Pijaństwo na siebie zarabia. Im więcej wypróżnionych butelek — tym więcej dopłat i więcej pieniędzy na walkę z alkoholizmem. Plakatową walkę. Leczymy objawy a nie przyczyny.

Gdybyśmy zebrali nasze wojewódzkie i miejskie moce finansowe, skierowane przeciwko alkoholizmowi, to mógłby już dawno istnieć miejsko-wojewódzki zakład

zamknięty leczenia odwykowego. Tylko jaki zakład? A raczej na jakich zasadach funkcjonujący? Na zasadzie pełnego przymusu leczenia i pracy. Leczenie jest co prawda przymusowe, ale praca ciągle tkwi w sferach honoru i zaszczytu. Okazuje się, że nowy kodeks karny potrafił sprowadzić ją na niższy obowiązek społeczno-karnego. Chuligan zamiatający ulicę w charakterze pracy zleczonej przez orzeczenie nie karne znajduje się nareszcie pod pręgierzem opinii publicznej i dopiero teraz odczuwa bolesnie skutki występku. Areszt czy więzienie traktowane, jako państwowy wikt i opierunek, jako zaszczytny staż, który się notowało w środowiskach przestępczych jako powód do dumy. Więzienie nie przynosiło wstydu, a praca — o dziwo — wyzwała to piękne uczucie.

Przymusowa praca w zakładzie zamkniętym dla alkoholików byłaby także najwłaściwszą, terapią o społecznym znaczeniu. Dla-

czego za leczenie — jakże kosztowne — ma płacić uczciwie i ciężko pracujące społeczeństwo? Dlaczego ono ma czekać na zapłacenie więzieniem przez alkoholika szkód o nieograniczonych rozmiarach wtedy, gdy alkoholik popełni zbrodnię? A jeżeli nie popełni morderstwa, to czy on nie zabija swoją degeneracją najbliższego otoczenia? Czy trzeba leczyć dzieci alkoholików i rozliczać się z pieniędzmi na ten cel wydanych, czy też lepiej izolować w porę siewców zła?

Nie stawiajmy problemu do góry nogami. Najwyższy ku temu czas, żeby zdać sobie sprawę z rozmiarów klęski i położyć jej kres. Przed powodziami chronimy się regulacją rzek, budowaniem zapór itp. Pijaństwo jest powodzią, z którą nie możemy sobie dać rady, bo zapobieganie działa głównie w sferze perswazji, tłumaczenia, uświadamiania. Kto z tego korzysta? To jest na pewno dobre i wskazane w stosunku do dzieci i pod-

lotków, ale nie do facetów, którzy hasła propagandy antyalkoholowej przyjmują ordynarnym odzwaniem: „Alkohol, twój wróg — lej go w morde”.

Wracając do ustawy. Kto i kiedy rozliczy się generalnie z obowiązków przez nią nałożonych? Czy wiele z tych obowiązków zaczęto w ogóle wykonywać? Terenowe władze państwowe miast i wsi powinny otworzyć tekst ustawy i artykuł po artykule sprawdzić jak ich treść adaptowała się w życiu społecznym i urzędowym. Okazuje się, że dziesięciolecie ustawy pokwitowane zostało formalnym szacunkiem dla zanego dokumentu. A fakty kwitują rzeczywisty stosunek do tego aktu. Fakty są wymowne...



Dziewczyna pod plebańskim sadem

Wieczór w górnym lesie wje rdzawe gnazdo. Od pół prósy resztką ciepła. Ale sadzawka też cze cała w złocie purpurze, upletrzona aż po przejrzyście rzese białymi obtoczkami. Pachnie zgrzanym, mlekkiem sitowiem.

Nie widzimy netznacego przez sady wieczoru. W naszych oczach dzwonek, wino, czerwień, w palcach skaczą damy, króle, dupki żo ledne.

Gramy w chlusta. A że w kletdach goluteńkie plótno, przeto tnemy na prztyki. I już talia postrzeplona, obita w tych prztykach o nasze uszy.

— Falka, czyli dycha żo ledna — mówię.

— Falka zawsze górą! — krzy- czy Józek.

— Daj to twoje klapłaste — zwraca się rudy Antek do Roma- na — przegrzałeś.

Przytrzymujemy Romana, a An- tek połówka talii wcinia dwadzieś- cia prztyków w ucho, które czer- wienieje i przechodzi w fiolet.

Roman kładzie się w sitowiu i zanurza ucho w sadzawkowej zu- ple. Zostawia tam fiolet, lecz wy- ciąga zielonutkie tuski rzesw. Trusta końska pijawka zjeżdża w skretach na szwie Romana. Roman otrząsa się psio.

— Cholerny pedalek, jak to wy- czuł krew — mówi.

— He, he, he! — dudni basem rudy Antek.

Aż tu leci od zastodola fizju- mi zło Edzio. Pobożny i nawiedzony, z babami gardłute pod kapliczką, a myśli tylko o tym, jak by któ- rą przdybać w jaśminie.

— Coś ważnego, bo szybko zasu- wa — zauważa Józek.

A Edzio kuszyk, kuszyk, kula- wiec. Cztery dychy ciągnie na przetraconym kulisie. Młochy gra- ją pod deka, a w oczach diabluki.

— Dziewucha... chrypl.

— Twoja?

— Nie, ale dziewczucha... W port- kach...

— Może chłopak? Dużo teraz ku- dlatych.

— Chlapieś, Edziu, kapliczne?

— Nie... Ona obca, a ładna. W- gospodzie pod osadą...

— Idziemy — wyrokuje Józek.

— Ja nie ide — mówi Antek — Mnie by trza za las. Tam jedna Maryśka z przychówkiem rzeka na wieczorny paclerek.

— Kit ci w oko — spluwa Ro- man.

Idziemy, bo do gospody kilo- metr. Od samego progu ledziemy w plwnym doślizu. W oczach, nozdrzach dym, chmiel, kwaśna kapusta. Szczęśliwie daleceńko gęsto darzy z naszej wsi w kołysance nad kufkami Popatrują w ten róg pod pluszowa kotara.

A my za późno cholera... Tam już tych dwóch drogowców Tech- nicy, neta ich dola ewańska! Ed- zna Suzia młodzie nima. Zielonka- we oczy, włosy w owsele przejrza- łym. A od przodu dwa jabłuszka pod czarnym sweterkiem.

— Autostanka — mówi Józek.

— Skąd wiesz? — pytam.

— Pod stołem zielony plecak — wyjaśnia Roman.

A technicy puczą się w przymil- nym toku. Przed nimi półbas, ka- napki i świecaca zorza oranżada. Pije dziewczyna. Pies otrząsa się w jej zielonokłej twarzy.

— O nocleg trudno, bo ciasno w chatupach — mówią technicy.

— A kierowcy wieczorem nie biorą.

— I późny ten wieczór...

— Do sołtysa pójdę — mówi dziewczyna. — Gdzieś w tych oko- licach mieszka mój wujek.

— Sołtysowa zazdrosna. Nie u- wierzy w wujka, nie wpuści.

Dziewczyna nie chce iść z dro- gowcami. Ciesze się ścisłkam dłoń Romana. Nie lubimy techników.

— Przestań, bo połedniez odno- stowa kafuzela — szepee modli- tecznie Edzio.

— Ale dziewczyna ciągnie pół set- ki. W oczach, twarzy ciepło, ule- głość.

— Młastowa — mówi Roman.

— Nie tak szybko urwią jej film — dodaje Józek.

Ten beżowy techniczek idzie do

zwarcia. Szepce cicho, namietnie. Ukrywa nieczarnie zaobrączkowa- ny paluch. A ten w kurcie skórzanej wcale się nie szczyplie. Oj, świnią. U niego tapa owiosiona, przybrudzony mankiel. Papierosek w palcach. Potrząsnął, i syp- neło popieinie nad kieliszkiem.

— Nie pij, maia! — krzyknął Roman. Za późno... Dziewczyna zaarżusła się, ale sporo siordonia. Spod okna wstai chudy, zylasty ojciec wójka karnika.

— Jakże to tak, panowie?

W ciomach skorzanego technika przysnęły zelazne obrączki.

— Nie gra coś, czy jak? — spy- tai z mgieinym losem w oczach. Bufetowa Jozia cnapnęła za siu chwacę.

— Panowie! Po milicję do osa- dy zadzwonię!

Opadamy z indyczego napusze- nia, i boumy się tecnikow, cno- lera.

— Pójde już — szepee dziewczyna.

— Było nam niezmiernie miło — klanają się technicy.

Trzęsie dziewczyną i kołuje chwiejnie nad krzesiem. Skorza- ny usznie podstawiia sodowkę.

— Licho z nią — szepee Edzio i zaciera dionie.

U dziewczyny mgla w zielonych oczach. Przez twarz sypie się zio- cisty owies. Biorą ją technicy pod ramiona, wychodzą. Gospodarze wstają.

— Chodźta, chłopcy, będzie cyrki! Ale za oknami baby. Plują, kina, ziorzecza. A karnikowa jakaz na- gie światobliwa!

— Na tajactwo ślipia się za- chciało wyiepać! Krowy nie o- jone, a oni w ochapiel!

Gospodarze zostają. Kilku szczy- łów z podstawowki sunie kocio pod opiotkami, Roman wyjmuje z kieszeni kozik.

— Do domu, szpilory, bo wymi- szel! Uciekają.

A tamci ślagną w fioletowym mroku. W zastodola idą, nad rzec- kę. I wchodzą do plebańskiego sa- du.

— Tam nie wolno — mamle Edzio — bo tam święte miejsce.

— Sad jak sad, zwyczajnie — odszeptuje Józek.

Czoigamy się pod agrestami. Ci- chutko. Bo z techników gieroje... Do spółki z dwoma kumplami roz- broili strażaków na zabawie we wsi za lasem. Sprzączki od pasów we łbach, twarzach, krzyżach po- zostawiali.

— O jejujku — piszczy pomy- lony Edzio, gdyż dziewczyna leci na wysoką trawę. Technicy po- chylają się nad nią.

Zabielała uda. Edzio świszczy i sapie. Ślini się.

— Denst z panny — mówi tech- nik beżowy.

— I co z tego? — ten w skórce.

— Żeby po dwóch kieliszkach tak padła...

— Sypneło się popołku, jak trza...

Beżowy tapie za deke. Trzęsie.

— Swinia jesteś, Glenek — sy- czy.

— Do domu, bo powiem kobie- cie, jakis cwaniull!

— A ty niby nie? — bełkoce ten drugi.

— Przecież my już nieraz pospo- tu...

— Ale nie po świniakul! Idziemy.

— A ona?

— Wytrzeźwieje, pójdzie...

Szarpią się i sapia, idą na nas. Drżymy z weśnietymi w rośną trawę twarzami. Jeden z techni- ków wiazi Edziowi na tapę. Ale Edzio bohater. Milczy.

Podczołgujemy się bliżej. W na- szych oczach drżaca biel. Białe cia- ło w trawie zielonej... Popatrzed- choćby... Edzio młaska. Trzaska palcem w dłoń.

— Stul się — grozi Roman.

Nagle przypadamy do ziemi. Zza przejrzałego w tyczkach grochu wychodzi czarny cień, wikary... Brewiarz w reku, różaniec. Patrzy na oprószone gwiazdami niebo. Idzie na dziewczynę. Cholezal! Po- tyka się, cofa gwałtownie. I czy- ni znak krzyża. Jek cichy, szloch leci przy ziemi. I trzaska zapalka w pszenicznym ogniku. W drgają- cym płomieniu błyszczą wypuczo- ne oczy wikarego.

— Jezus, Maria, Boże miłosier- ny — skomli.

Wpycha do kieszeni brewiarz i różaniec. Dźwiga dziewczynę, ciągnie z trudem placek. Potyka- jąc się idzie pod jablonnym sadem. A w jego ramionach młoda, rozmamłana dziewczyna. A trzy- dzieści pięć lat ma nasz ksiądz wikary.

— Będzie miał, co zechce — szepee Józek.

— Eeee... ksiądz? Jakże ty... — Edzio trwożnie.

— Pod sutanna portki — stwier- dza twardo Roman.

Gnamy pod plebanie. Na oleba- ni okna czarne. Spłi proboszcz.

A wikary taszczy młode ciało przez tylne drzwi na pieterko.

— Nigdy nie uwierze, jeśli się nie przekonam — mówię.

Edzio usłużnie składa dionie za plecami.

— Ale mnie wciągniecie? — mamrocze.

Stawiamy stopy na splecione dionie i wiażymy na ten kasztan pod oknem. I wciągamy stekają- cego Edzia.

Sypie w oczy pożyła z otwar- tego okna. A kiedy już gasna te- zioście drzazgi, widzimy wikare- go, jak kładzie dziewczynę na ka- nape. Znika w drzwiach.

— Ksiądz to zawsze ksiądz — szepee.

— Jeszcze się okaże — upiera się Roman.

Wikary przynosi butelkę, wodę ręcznik.

— W butelce gorzala — trum- fuje Roman.

— Oeet — mówi Józek.

Ksiądz przeciera twarz i czold- dziewczyny i znów biegnie za- drzwi, wraca i tyżeczką wlewa coś do jej ust. Nad zielona woda oczu drgają białe różowe plateczki. I dziewczyna ślada. Przeciera oczy. W jej twarz wchodzą poblask z jesiennego sadu.

— Boże, co też matka powie? Jak mogła tak puścić w świat? Dziewczyna potrzasa tym owia- nym światłem we włosach i wsta- je gwałtownie. Kleka. I owsiane światło tonie w czarnych ładach sutanny.

Ksiądz podnosi ją z kłeczek. U- kłada na kanapie i okrywa kocem.

— Mogłby choć sutanne zdiać. I krzyżek... ślini się Edzio w kasz- tanowych łściach.

A z wywartego okna:

— Oj, Jasia, coś ty narobiła!

— Wujku! Wujek przecież nie powie... Ja już nieraz na prywat- kach piłam wino, wódke. A oni- nie nie zrobili... Czulaś, rozumia- łaś i słyszałam wszystko... Popio- tu sypnął mi, bydlaki! Nie mogłam się bronić... Słabość taka, ziem- ność w oczach...

— Spij już, dziecko, śpij!

Urywa się złota smuga płynaca od okna i tonie, rozpełza w po- mroce.

— Eeee, nie nie było — wzdry- cha żalownie Edzio.

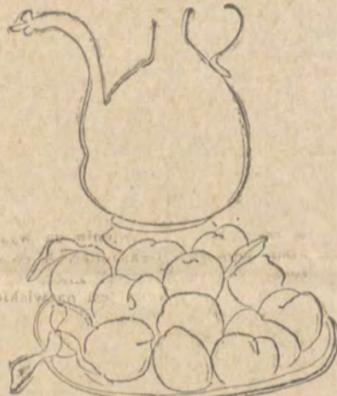
— A tyś taki pobożny niby, ale i świntuch galanty — mówię i po- pycham go w zadek. Edzio z trzaskiem jedzie po pniu.

— Ale panna trafila, ja biduję!

— cmoka Roman.

I już w niemocle ziażymy z ka- szтана. Bo co to nie miało być, i nie nie było...

Wiesi śpi w czarnym worku. W ten worek sypią się gwiazdy i szepeczą w nim sady. I pod ka- czym, gesim pierzem, na trzeszcza- cym ślanie lądą nowe poczecla. A na błoniu pod lasem dzwonne rzy- samotny koł.



Annie J.

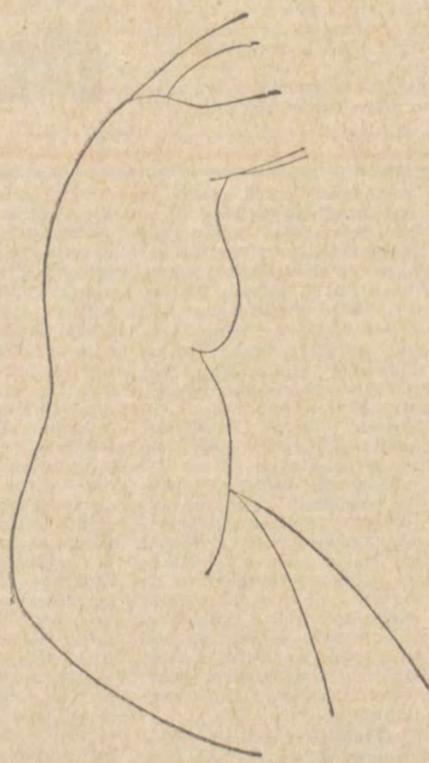
Dzień rodzi dzień
nocy we mnie nie znajdziesz
za chłodnym głosem skóry
Instrument cłszy
cierd

modlitwa odpelzanych lat
pusta jak mleśce spłwys dniami
trwa na galezi dożyczonej ptakom
zmrużona w zieleń
Iza

na krucyfiksie odkrywamy
ciała łatwopalny chrust
obejmujący płomienie
kłamstwem przekrwionych naczyń
ost
prześladowani wyuzdani —

ciemne masz oczy na skrzydle światła
tam gdzie powraca myśl chłodnych nocy —

dzień rodzi dzień
jako słowo w okrucu chleba
jak prawdę której brak w nas samych
więc jej nie trzeba —



„Akt” rys. C. Brancusi

Ten sam ból co wypełnia wargi sromowe
zaciska moje szczeki wylamuje zęby narzędziom
szturmującym zamek kasy pancernej
zmusza do pracy dostojne trybunały
złote wibrzmięwa z otwartej paszczy dńia
jak oskarżenie
kiedy stoie na wzgórzu sadzony przez wiatry
a moje pragnienie ucieczki udziela się trzmielowi
porusza skrzydłami które zdolne są przerazić nawet
byka

Niewidzialne racle dęca błękit
światło stacza się ze szczytu — zechnietly kamień
pozostawiona w ciemności sprawiedliwość
bladzi jak ementarny robak między nozorem prawdy
a jej karykatura odbijana przez słowa

I trwa odwieczny połednyek dwóch tytanów
o panowanie nade mną

Miedzy młotem a kowadłem
ziemia wdęptana w zapach ziemi
Sobónłone dionie szukają miejsca
dla zgruchotanych kości

Po nocy znów przechodzi noc
Zelazna okrywa opada na senne oblicze
Wiatr straca wczesne owoce z nieba
by to co złe oddzielić od dobrego

I rozpoczyna się twórczy proces gnicia
rozbijanie twarzy na czynniki pierwsze

Autobiografia Sergiusza Prokofiewa

Polska literatura o Prokofiewie jest niezmiernie uboga, podczas gdy nie tylko w Związku Radzieckim, ale we wszystkich większych krajach europejskich pisze się o nim i jego sztuce coraz więcej. Poza naukowymi rozprawami pamiętam jedynie o popularnej książeczce T. Zielińskiego o koncertach kompozytora i eseju S. Kisielewskiego w jego wciąż niedokończonym „Gwiazdozbiornie muzycznym”. Jest to zjawisko tym bardziej osobliwe, że kompozytor stosunkowo często pojawiał się w latach międzywojennych w Polsce jako wykonawca swych utworów a i dzisiaj jego muzyka cieszy się znaczną popularnością. Toteż opublikowane przez PWM tłumaczenie autobiografii (ściśle: dwóch autobiografii) Prokofiewa należy powitać z radością; na pewno znajdzie ono życzliwych czytelników. Raduje także podana przez to samo wydawnictwo informacja o przygotowywanych edycjach wyboru listów i pism artysty.

Typograficzna strona książki przedstawia się wzorowo. Przekład jest gładki, czyta się doskonale, choć z rzadka napotyka się w nim rudyzyzmy; dokładniejszych potknięć nie dostrzegłem, poza jednym niejasnym zdaniem na s. 137. Budzi natomiast niepokój pisownia nazwisk, występujących w tekście. Rosyjskie „e” raz oddawane jest po polsku jako „ie” (jak np. w nazwiskach Asafiew, Biezin, Jesipowa itp.), kiedy indziej jako „e” (Glebow, Diaglew itd.); rosyjskie „ja” raz jest „ia” (Diaglew, Miaskowski itp.), gdzie indziej nie widać czemu tylko „a” (Bielajew, Ladow, Lapunow, Szalopin). Podobne niekonsekwencje występują przy „ju”: jeśli jest Briusow, to czemu Lubow? Jeżeli tak dowolnie postępuje sobie Mała Encyklopedia Muzyki (PWN), to jeszcze nie znaczy, że jest to właściwe. Z imionami były też inne kłopoty: wszystkie podano w oryginalnym brzmieniu za wyjątkiem jednego: Aleksander. A co się tyczy pisowni nazwisk? Ziloi! toć to raczej Ziloi. Konjus jest nazwiskiem francuskim a rodzony brat kompozytora, o którym wspomina Prokofiew, pisał się Conus (tak też zwiastuje jego mieszkający w Paryżu syn) i tak odnotowywano go niedawno... w naszym „Ruchu Muzycznym” z okazji niedawnego wykonania jego koncertu skrzypcowego. Czas najwyższy, aby i PWM zastanowiło się nad tymi sprawami. A. G.

S. Prokofiew, Autobiografia. Przetłumaczyła J. Ilnicka, Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Kraków 1970.

Pojawienie się nowego zeszytu „Rzeczy poetyckiej” sprawia recenzentowi podwójną satysfakcję. Po pierwsze stanowi ono chyba zapowiedź reaktywowania periodyku, który w ciągu wielu lat edycji zdobył sobie opinię teoretycznego organu poetów i jako miejsce ożywionej dyskusji wywarł istotny wpływ na ruch literacki w naszym kraju. Po wtóre zawartość zeszytu zatytułowanego „Festiwałe” (nieco na wyrost, gdyż materiały obejmują tylko jeden, łódzki) przynosi obszerną dokumentację wypowiedzi krytyków i poetów na temat miejsca i roli współczesnej poezji polskiej. Zestawienie tych wypowiedzi ma zresztą charakter wyraźnie ponadfestiwalowy, gdyż ambicją redaktora tomu i autora wyboru, Romana Łobody, było, jak pisze we wstępie, „uzyskanie możliwie najszerszego, konsekwentnie rozwiniętego przeglądu i oceny poezji 25-lecia PRL”.

Czy publikacja stanowiąca plon pofestiwalowych dyskusji spełnia te założenia? Generalnie rzecz biorąc — tak. Referaty wygłoszone na kolejnych festiwalach łódzkich były niewątpliwie próbą syn tetyzującego widzenia spraw poezji w naszym kraju, a referaty te stanowią zasadniczy, najbardziej nośny trzon publikacji.

Najpełniejszy wizerunek sytuacji współczesnej poezji polskiej przynosi wypowiedź krytyka najmłodszej generacji, Michała Sprusińskiego pt. „Imiona prawdy i znaki niepokoju”. Najpełniejszy, choć wcale nie reprezentatywny, bo zawierający kilkanaście ledwie przykładów postaw artystycznych, a i podział na „rewolucjonistów środka wyrazu”, „synkretystów” oraz „nowych klasyków” budzi niejakie zastrzeżenia. Ale nawet ten niedoskonały przewód poszukiwań formalnych i widzenia świata przez poetów pozwolił Sprusińskiemu postawić tezę, że współczesna poezja polska „posiada (...) niewątpliwie miejsce własne na europejskim forum. I co nierównie ważniejsze — jest to nadal sztuka, której świadomość, pasja rewelatorska i wiedza, to istotne składniki wiedzy i świadomości narodowej, sztuka, która nie jest milczącym świadkiem, lecz stara się nazywać imiona prawdy i kreśli znaki niepokoju w obliczu współczesnego świata, sztuka, która wiecie dialog z prawdami naszego czasu”.

Szczegółowym rozwinięciem tej tezy są inne krytyczne wypowiedzi festiwalowe. Andrzej Lam w publikacji pt. „Awangarda poetycka wczoraj i dziś” tropi związki awangardystów polskich z europejskimi i szczegółowo analizuje poszukiwania rodzime. A przecież i jego wnioski korespondują wyraźnie z optymistycznym widzeniem Sprusińskiego: „Dziedzictwo awangardy nie należy już do sztuki elitarnej, i nie może być inaczej w sytuacji, kiedy podciągnięte zostały rezerwy społeczne. Kiedy gwałtownie zmienia się pejzaż polski, kiedy istnieje szansa, aby nie dopuścić do wyjąłwienia i oskalpowania naszej ziemi”.

Nazywaniem imion prawdy, że użyję terminologii Sprusińskiego, zajmuje się Ryszard Matuszewski. Jego „Nurt obywatelski w polskiej poezji współczesnej” jest nie tylko przeglądem postaw tzw. poetów zaangażowanych, ale jednocześnie próbą odpowiedzi na pytanie, jakimi narzędziami dysponuje poezja, aby stanowić odzwierciedlenie losu narodowego, historii czy tradycji społecznej.

KONRAD FREJDLICH

Poezji dzień powszedni

Nieco odmienny charakter mają referaty Edwarda Balcerzana, Jana Błońskiego i Jerzego Kwiatkowskiego. Zwłaszcza ten ostatni stoi w jawnej opozycji z ogólną tonacją innych festiwalowych wypowiedzi, ale też brzemie, które na siebie przyjął, obiecywało, jak się wydaje, niewiele: „Najmłodsza poezja polska”. Anonimowość, bezosobowość, stylizatorstwo, fetyszycyzacja roli intelektu, depersonalizacja — oto tylko garstka z rzutów, którymi krytyka raczy najczęściej próby najmłodszych. Ale nawet Kwiatkowski przyznaje ostatecznie: „Obecna młoda poezja rozporządza znacznym, choć słabym bagażem intelektualnym, znaczną kulturą. Na ogół przewyższa pod tym względem pokolenie poprzednie. Większa kultura, mniejsza spontaniczność, słabsza wyobraźnia — wszystko wskazuje na to, że proces indywidualizacji musi tu przebiegać wolniej, może za to doprowadzić do dłużej trwającego okresu szczytowego”.

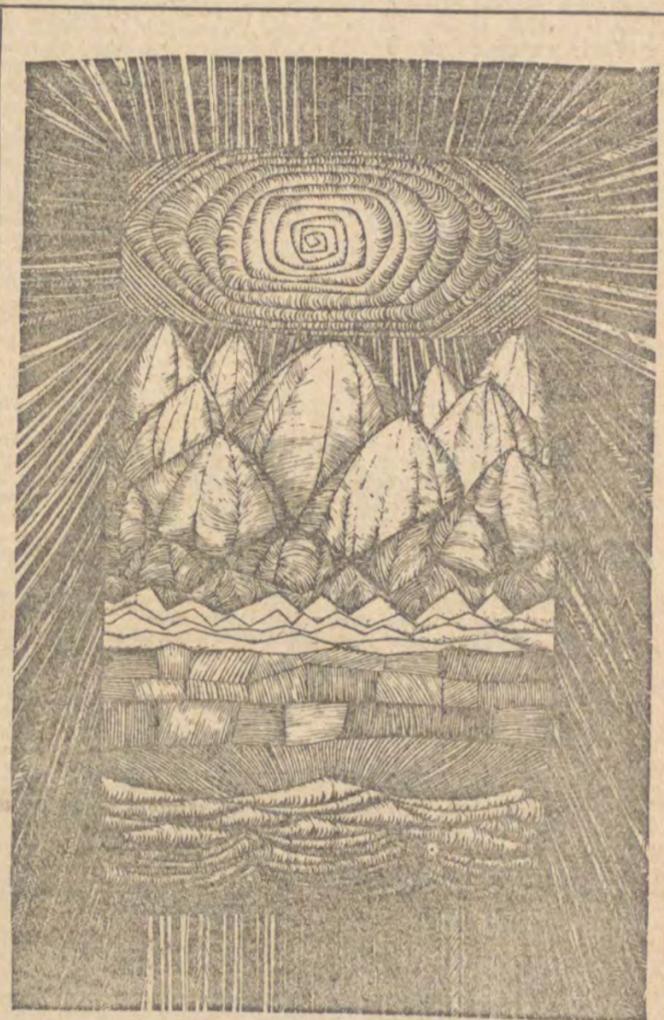
Edward Balcerzan („O młodych i najmłodszych”) również dość surowo ocenia próby najmłodszych. I szuka rozwiązań w sferze światopoglądu artystycznego. Ale pro-

blematyką tą, w sposób szczegółowy, zajmuje się raczej Jan Błoński, autor pracy „Dekoracja, język, mit”. Dla Błońskiego najpoważniejsze zagadnienie stanowi sprzeczność pomiędzy poezją jako wyrazem a poezją jako konwencją, jednakowo dotyczące twórców wszystkich generacji, bez podziałów pokoleniowych. Błoński nie ocenia ani też nie kreśli perspektyw: stara się jedynie wnikać w świat wyobraźni, przedstawić prawa, które nim rządzą i tym samym uzmysłowić potrzeby i możliwości poezji. Jest to więc wprawdzie niejako laboratoryjna, bliska tym, którą w tomie „Festiwałe” składają sami poeci.

Spośród tego typu wypowiedzi najciekawsze wydaje mi się wyznanie Bogdana Ostromeckiego pt. „Poetyckie doświadczenie osobiste”. Najciekawsze i właściwie jedynie. Inne głosy (Jan Bolesław Ożóg, Jan Koprowski, Tadeusz Chrościelewski, Marian Piechal)

zacytowane są w „Rzeczy poetyckiej” jedynie fragmentarycznie, nie dają więc pełni poglądów poetów na sprawy poezji. Zabrakło także w publikacji choćby wyboru wierszy nagrodzonych na łódzkich festiwalach, a więc materiału najbardziej przekonującego we wszystkich dyskusjach o poezji (książka w dziale „Kronika” zawiera jedynie listę laureatów czterech łódzkich festiwalii poezji). Pomimo swej niedoskonałości publikacja „Festiwałe” wydaje mi się cennym dokumentem ewolucji myśli krytycznej wokół zagadnień, które poezja uczyniła swoim światem.

„Rzecz poetycka — Festiwałe”, Wyboru dokonał i opracował Roman Łoboda, karykatury — Stanisław Gratkowski, Wydawnictwo Łódzkie 1970, str. 102, cena zł 10.



Anna Kramarz-Gruszczyńska. Tkanina malowana pt. „Pejzaż Czarnomorski”

Przeszłość i teraźniejszość

Już parokrotnie próbowałem się nad tym, co to jest właściwie publicystyka historyczna, a zwłaszcza na s. 137. Budzi natomiast niepokój pisownia nazwisk, występujących w tekście. Rosyjskie „e” raz oddawane jest po polsku jako „ie” (jak np. w nazwiskach Asafiew, Biezin, Jesipowa itp.), kiedy indziej jako „e” (Glebow, Diaglew itd.); rosyjskie „ja” raz jest „ia” (Diaglew, Miaskowski itp.), gdzie indziej nie widać czemu tylko „a” (Bielajew, Ladow, Lapunow, Szalopin). Podobne niekonsekwencje występują przy „ju”: jeśli jest Briusow, to czemu Lubow? Jeżeli tak dowolnie postępuje sobie Mała Encyklopedia Muzyki (PWN), to jeszcze nie znaczy, że jest to właściwe. Z imionami były też inne kłopoty: wszystkie podano w oryginalnym brzmieniu za wyjątkiem jednego: Aleksander. A co się tyczy pisowni nazwisk? Ziloi! toć to raczej Ziloi. Konjus jest nazwiskiem francuskim a rodzony brat kompozytora, o którym wspomina Prokofiew, pisał się Conus (tak też zwiastuje jego mieszkający w Paryżu syn) i tak odnotowywano go niedawno... w naszym „Ruchu Muzycznym” z okazji niedawnego wykonania jego koncertu skrzypcowego. Czas najwyższy, aby i PWM zastanowiło się nad tymi sprawami. A. G.

S. Prokofiew, Autobiografia. Przetłumaczyła J. Ilnicka, Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Kraków 1970.

społecznym odbiorze funkcje nowacj poczynają jako wypowiedź najzupełniej współczesna, poruszająca sprawy, o których nikt nie powiedziałby, że są przeszłe, w zmienionych okolicznościach czasu może ujawnić swoje drugie oblicze i stać się tym, co najogólniej nazywamy publicystycznym piarstwem historycznym. Tak właśnie dzieje się wówczas, kiedy autor podejmuje wielkie problemy o długotrwałej aktualności i potrafi zdobyć się w ich odcieniu na szerszy, ogólniejszy pogląd, w którym aktualność detalu nie przesłania ogólności całokształtu zagadnienia.

Tak właśnie stało się z publicystyką Edmunda Osmańczyka, pisaną w ostatnich miesiącach wojny i w pierwszych latach pokoju. Kiedy badał że przed rokiem czy dwoma przeczytała się na łamach naszych czasopism społeczno-literackich dyskusja o ważnych, zapadłych w naszą pamięć zbiorową książkach dwudziestopięciolecia, niejednokrotnie wspomniano „Sprawy Polaków”, Głośna ta książka,

wydana w 1946 roku miała zadanie jak najbardziej aktualne: nauczyć rozumienia współczesnej problematyki niemieckiej, przestrzec przed niebezpieczeństwami złudzeń, napiętnować postawy, które przy całej swej intencjonalnej słuszności mogły i miały się okazać niebawem

nowiło po prostu życie; co się bowiem tyczy spraw polsko-niemieckich E. Osmańczyk posiadał ich znajomość najgłębszą — przeżył ją i przemyślał. Wtedy, w 1946 roku słowa, że Polacy winni się zastanowić nad koniecznością nowego ułożenia swoich stosunków z Niemcami

Był rok 1945

błędne. W życiu społecznym bywa bowiem zwykle inaczej, niż w kościele: dobre intencje liczą się mniej, niż dobre skutki, zgodnie z tym, co powiedziano: po owocach poznacie je. Z intencjami bywa u nas na ogół jak najlepiej, z owocami zaś bardzo różnie.

Owiany duchem młodzieńczego romantyzmu opolski poeta przedzierzgnął się w swej publicystyce w drapieżnego realistę, jeżeli nie w trzeźwego pozytywistę. Stało się to dlatego, że inspirował go jego pisarstwo sta

dla bardzo wielu z nas nie były łatwe do przyjęcia „Opieranie obliczeń na przejściowym rozbić sąsiedniego państwa jest karygodnym samooszukiwaniem się. Z cudzej słabości nie tworzy się jeszcze własna siła. Rachunek pozostaje negatywny, dopóty, dopóki własną mniejszą słabość przywierza się do przypadkowej większej słabości sąsiada.” „W piętnaście miesięcy po zakończeniu zbrodniczej niemieckiej wojny staje się jasne, że nienawiść i pogarda do narodu niemieckiego

nie utrzyma się w świecie. Nieuchronnie zbliżamy się do dnia, w którym naród niemiecki zostanie wśród szumu szlachetnych, wzruszających słów jak zblakana owieczka, wprowadzony z powrotem do rodziny ludów świata.” „Nie ludźmy się, bracia Polacy, że kilkadziesiąt milionowy naród niemiecki w środku Europy zostanie na zawsze czy choćby na dwadzieścia lat oboczem zadżumionych, od których świat odwraca się z odrazą. Zbyt wiele krzyży się interesów w tym miejscu Europy, aby stan taki mógł potrwać choćby kilka lat. Tam gdzie jest interes, tam zjawia się bardzo szybko woła o współpracę”. Wiedział E. Osmańczyk doskonale, że ten kierunek myślenia ma licznych bardzo licznych przeciwników. Jeden z nich, publicysta poważnej gazety katowickiej w odpowiedzi Osmańczykowi nie wahał się rzecz nawet: „Mówić o Niemcach pokojowych i demokratycznych mogą tylko te elementy, które przygotowują już nową wojnę światową... Wszelkie wspomnienie o współpracy polsko-niemieckiej, o wyściganiu dłoni do Niemców — służyć będzie wszystkim innym celom, tyl

ko nie sprawie bezpieczeństwa Polski i pokoju między narodowego”.

Byłoby to dziś już sprawą przebrzmiałą? Znowu życie zadalo klam marzeniom — więc liczymy się z nim, nie z nimi.

Wielka szkoda, że E. Osmańczyk nie przedrukował dziś w całości „Spraw Polaków” w postaci, w jakiej poznaliśmy je przed czterdzieściami lat. Rozumiem, komponując z różnych ogłoszonych i nie publikowanych tekstów tom „Był rok 1945...” (PIW, 1970) pragnął uniknąć powtórzeń i dezaktualizacji. Ale chciałoby się też wiedzieć, co i jak z jego dawniejszych myśli i prognoz zwierzało, tak samo, jak cieszy po latach celność wielu autorskich obserwacji i ocen. Złoczył E. Osmańczyk w swej książce różne teksty, osadzone głęboko w realia tamtych dni, stąd tytuł całości jest jak najbardziej uzasadniony. Nie sposób streścić tego tomu: trzeba go przeczytać.

Gdybym miał wskazać na najlepszą książkę publicystyczną ostatnich miesięcy, powiedziałbym na pewno: Osmańczyka „Był rok 1945...”

JÓZEF GRZELAK

Do Sopotu jadą wozy kolorowe

Dalszy ciąg ze str. 3

— czego przykładem są między innymi setki festiwali wśród których Polska ma nieposiednie miejsce jeśli idzie o ilość, bo jeśli chodzi o jakość to Sopot jest dopiero na piątym miejscu po Cannes, Rio de Janeiro, San Remo i Splicie — jest żywa ilustracja tej prawdy. Powrót do natury, jaki obecnie obserwujemy, jest odwrotnością od pracy do piosenki. Ucieczka przed światem cywilizacji kieruje się w świat wesolej zabawy i muzyki. Zyciorysy licznych uczestników Festiwalu w Sopocie to potwierdzają. Większość z nich najpierw pracowała lub uczyła się, ale o pewnego dnia pod jakimś tam pretekstem rzuciła pracę lub przerwała studia i zaczęła śpiewać i tańczyć. Okazało się to nawet nie takie głupie, gdyż zabawa jest przecież o wiele przyjemniejsza od pracy i, co ciekawe, w wielu wypadkach finansowo bardziej opłacalna.

Przykładem niech będzie Joan Baez, która rzuciła studia i zaczęła śpiewać ballady. Co prawda ona sama twierdzi, że był to akt polityczny, protest przeciwko wojnie. Ja jej wierzę. Widziałem niedawno na kronice filmowej jak jeden z Beatlesów protestował przeciwko wojnie w Wietnamie, leżąc przez cały tydzień w łóżku luksusowego apartamentu hotelu Hiltona. Leżał oczywiście nie sam, obok znajdowała się piękna dziewczyna w negligi. Prawdopodobnie żona. Trzeba przyznać, że jest to

dość wygodna pozycja do manifestacji antywojennej. Zawołaniem wszystkich hippiesów jest przecież „uprawiajmy miłość zamiast wojny”. Joan Baez jest właśnie damskim bardem tychże hippiesów. W Sopocie głośno deklarowała, że bardzo kocha hippiesów i z tą myślą przyjechała do Polski, ażeby im tu zaśpiewać. Trochę się rozczarowała, hippiesów w Sopocie było mało, w każdym bądź razie na pewno mniej, niż chuliganów, a w Operze Leśnej, gdzie występowała, było jeszcze mniej, gdyż ceny biletów za występ wynosiły ponad 100 złotych. Szybko więc pojechała głosić miłość i brać terstwo na wyspę Wight, gdzie hippiesów było znacznie więcej, niż chuliganów w Sopocie, bo aż 600 tysięcy. Co z tego wynika, już wiemy, zdemolowali wyspę.

Oczywiście i w Sopocie zauważyłem paru hippiesów, jak siedzieli nad ściekiem z trującymi wyziewami, byli smutni, samotni, młczący i prawdę mówiąc, nawet dość sympatyczni. Jedni uczesani a la Jezus Chrystus, inni jak Robert Charlebois, ten najlepszy i najbrzydszy piosenkarz Festiwalu. Jedną z dziennikarek zachodnich opisuje go w ten sposób: „Święty Jan Chrzyciel psychodelizmu. Zulus z kudłatą głową, który temperamentem rozwała estradę”.

Inna znów tak go charakteryzuje: „Showman o niesłychanej inwencji, autor genialnych gagów. Indywidualność wybitna i atrakcyjna, brzydota fascynująca, genialnie muzyczna”.

Wszystko się zgadza. Nasz Niemen przy nim to układne, grzeczne ubrane i uczesane piskle piosenkarzkie. W ogóle na X Jubileuszowym Festiwalu Piosenki fenomenów było sporo, choćby ów gwiazdzący Węgier, wybrzyk natury o znakomitej kulturze muzycznej. A w samym jury ulubienica polskiej publiczności, Conchita Bautista, wedetta śpiewająca biogramami. Hiszpańskie i cygańskie dziewczęta oraz melodie mają w naszym kraju zapewnione powodzenie publiczności. Choćby Halina Kunicka, ani Cyganka ani Hiszpanka, tylko w stroju cygańskim wystąpiła i natychmiast otrzymała nagrodę publiczności. Był to bodajże pierwszy wypadek w dziejach sopockiego Festiwalu, gdzie Polka zdobyła Grand Prix Sympatico. Jak widzimy akcent na wychowanie patriotyczne przy nosi już efekty. Maryla Rodowicz zdobyła z kolei nagrodę mieszkańców Wybrzeża. W ogóle ekipa polska wypadła dobrze na tle europejskich gwiazd. Tylko „No To Co” nie zdobyło żadnej nagrody, lecz Piotr Janczarski pobili rekord popularności wśród łowców auto-

grafów. Kiedy zjawili się raz na plaży, półtysięczny tłum młodzieży chciał go strataować, rozszarpać na kawałki i zepchnąć do morza. Pomyśleć, że to wszystko z uwielbienia. Przypuszczam, że łowcy autografów w tym roku dostali kompletnego obłędu. O rozmianach ich szaleństwa niech świadczy fakt, że nawet ja rozdawałem autografy, oczywiście podając się za Debicha.

Drugi łódzki zespół „Trubadurzy”, który choć nie wystąpił na Festiwalu, ale był obecny w Sopocie, również cieszył się olbrzymim powodzeniem. Znawcy przepowiadają, że „Trubadurzy” mają wszelkie szanse zostać w najbliższym czasie najlepszym młodzieżowym zespołem muzycznym w kraju. I oni także nie mogli się opędzić od łowców autografów. Okazuje się, że dziś muzycy i pio-

pejskie gwiazdy piosenki wśród których może zbyt wielkich nazwisk nie było, ale to tylko z tego powodu, że panuje teraz moda na wielkie imiona. Jak: Thereza, Farida, Kerima, Irena i Lucjan. Thereza Kesovia wprost prosiła dziennikarzy, żeby pisali o niej wyłącznie Thereza. Taki już dziś zwyczaj, że piosenkarze bardziej dbają o swe dobre imię niż o wielkie nazwisko. Weźmy choćby Niemen, dziś już prawie nikt nie pamięta jak mu na imię. Po prostu Niemen Enigmatic. Piosenkarze dają w ten sposób wyraźnię do zrozumienia, że chcą się spoufalić z publicznością, być z nią na ty. Sek tylko w tym, że publiczność nie zawsze chce z nimi wypić brudzi.

Czytelników, którzy zapytują, czy ów znakomity pianista z łódzkiej orkiestry o strasznych wa-



Śpiewa Marcela Laiferova

fol. CAF

senkarze oprócz umiejętności wokalno-instrumentalnych, muszą posiadać także dość trudną sztukę pisania, no, powiedzmy — podpisywania się.

Jeśli chodzi o łodzian, to w tej największej imprezie muzycznej w Polsce odgrywają prawie pierwsze skrzypce. O znakomitej łódzkiej orkiestrze Polskiego Radia i Telewizji nie będę, nawet wspominał, gdyż wszyscy widzieli w telewizji, że w osobie swego przyszłego dyrygenta była najbardziej rozpieszczanym i całowanym zespołem muzycznym przez euro-

sach i wstrząsającym spojrzeniu, to brat Niemena, informuje, że to owszem, też Czesław, ale Majewski, notabene prywatnie bardzo ładny człowiek.

No i dodać jeszcze należy, że w tym międzynarodowym festiwalu piosenki odbywa się niejako drugi festiwal — festiwal mody łódzkiej Telimeny. Być może, że w Łodzi ten Dom Mody, jest mało znany, lecz w Polsce i Europie cieszy się szerokim uznaniem. W stoisku Telimeny otwartym na okres Festiwalu w salonach Grand Hotelu zaopatrywały się w suknie

podobne nawet obecne tu milio-

nerki, no i oczywiście, przede wszystkim piosenkarzki polskie, Halina Kunicka i Dana Lerska. W tym sezonie Telimena lansowała już tylko midi i maxi. Nie musiała się nawet zbytnio wysilać, gdyż zwycięstwo tej mody, przynajmniej w Sopocie zostało przypieczętowane całkowicie sukcesem. W mini można było jeszcze zobaczyć gdzieś skradające się chyłkiem staruszki. Nastolatki wyłączenie już ubierają się w długie stroje, jeśli w ogóle można tu mówić o tym, że nasza młodzież się ubiera, ona się stroi w tańcuchy, krzyże, ikony. Widziałem dziewczęta z zawieszonymi u szyi puszkami konserw. Czy były pełne — nie wiem. Widziałem również młodzieńca, który w miejscu, gdzie kończą się plecy, miał wyszytą złotymi nićmi dość zmienną de-

wizję: „Droga do rozumu nie zawsze skuteczna”. Prawdopodobnie jakieś osobiste doświadczenie sprawiło, że doszedł on w tak młodym wieku do tak smutnego wniosku. A może zwyczajnie szedł nie tą drogą, o którą chodziło. Wiadomo przecież, że do rozumu dochodzi się różnymi drogami. Waclaw Przybylski, człowiek skądinąd dorosły, musiał wiele lat błądzić, ażeby dotrzeć do Festiwalu w Sopocie. Był wystąpić razem z Kyrdyńskim zerwał nawet wypróbowaną przysięż z Rokita. Pragnę jednak ostrzec, że zbyt pochopne zrywanie przysiężki nie wszystkim przynosi korzyści. Przekonała się o tym spikerka z Poznania, Maria Wróblewska. Przyszła ona przed rozpoczęciem Festiwalu do Ireny Dziedzic z zapytaniem, co ma robić, bo wszycy jej mówią, że jest córką pani Dziedzic. „A mnie wszycy mówią, że pani mnie naśladowała” — odrzekła Irena Dziedzic.

Rozmowa pięknych pań zakończyła się tym, że w przeddzień Festiwalu Maria Wróblewska spała w walizki i wyjechała do domu, do Poznania, do prawdziwej mamusi. Irena Dziedzic oceniła ten krok jako bardzo słuszny. Wyrażała żal, że piętnaście lat temu sama nie wpadła na taki pomysł i wobec tego, że nie wypadła jej naśladować młodszej koleżanki, naśladowała cały czas Irenę Eichlerówną.

KAROL BADZIAK

ANDRZEJ GRUN

Wspomnienia marszanda



„Wielcy malarze tworzą wielkich marszandów”

D. H. KAHNWEILER

Romantyczna epoka narodzin malarstwa współczesnego miała swoich trzech legendarnych marszandów: Durand-Ruela, Vollarda i Daniel-Henry Kahnweilera. Byli oni marszandami wyjątkowymi. Byli przyjaciółmi i opiekunami młodych malarzy. Wiernymi i odważnymi ambasadorami ich sztuki. Dzięki ich wysiłkom impresjonizm, fowizm, kubizm zawdzięcza ją w głównej mierze swoje późniejsze sukcesy, a twórcy tych kierunków niebywałą sławę. Z wielkiej trójki pozostał wśród żywych tylko D. H. Kahnweiler. Niemiec z pochodzenia, urodzony w Mannheim w r. 1884, przybył do Paryża w 1902, a od r. 1907 właściciel malej galerii przy ul. Vignon. Po pierwszej wojnie przeniósł ją na ulicę d'Astory i tam znajduje się ona do dnia dzisiejszego. W 1961 do Kahnweilera zwrócił się dziennikarz Francis Cremieux z propozycją wywiadu. Owocem wywiadu stała się niewielka książeczka mająca formę

rozmów a nosząca znamienity tytuł „Moje galerie i moi malarze”. Kahnweiler, marszand i krytyk sztuki kreślił w niej historię swojego życia niepodzielnie związanego ze sztuką. Historię kierunków artystycznych, których narodzin był świadkiem — przede wszystkim kubizmu, surrealizmu, ruchu Dada. Rysuje sylwetki malarzy, którzy te kierunki tworzyli. Kahnweiler był bowiem tym, który z rąk Picassa, Braque'a Grisa odebrał plód nowy, nazwany przez Vauxcellesa kubizmem. On to właśnie wyprowadził kubizm na szerokie wody rynku artystycznego i swoimi wysiłkami przyczynił się do jego sukcesu. Od początku swojej działalności kupował od Picassa. Nabył jego słynne „Panny z Awinionu” — obraz, w którym po raz pierwszy sformułowane zostały podstawy kubizmu. Pierwszy zorganizował wystawę dzieł Braque'a w 1908 r., kupował Deraina i Vlamincka zanim nie odeszli oni od kubizmu. Kupował Legeera. Z tymi malarzami łączyła go serdeczna przyjaźń i wzajemne zrozumienie celu, do którego wspólnie dążyli. Kahnweiler mówi o sobie, że nigdy nie był kolekcjonerem. Był podobnie jak św. Piotr polawiaczem ludzi — nie obrazów. Jego działalność uwalniała młodych artystów od ciężaru trosk materialnych, pozwalala za jąć się jedynie twórczością. Bowiem malować to znaczy uprawiać malarstwo bez przerwy.

Najciekawsze fragmenty rozmów to uwagi Kahnweilera o samym kubizmie. Jest on zresztą autorem monografii kierunku zatyłowanego „Der Weg zum Kubismus”. Wprowadza istotne korekty do sformułowań Apollinaire'a, którego uważa za genialnego poetę ale bardzo miernego

znawcę malarstwa i fantasty w tej materii, a także do teorii Gleize-
sa i Metzingera, których nazywa „kubistami mniejszymi” i których teorii nie miały wiele wspólnego z poczynaniami Picassa, Braque'a i Grisa. Opisując kolejne fazy kubizmu — kubizm analityczny i syntetyczny — Kahnweiler zwraca uwagę, że był on pismem. Surowym, zdecydowanym, precyzyjnym pismem a nie dekoracją. Zre sztą każde malarstwo winno być pismem stwarzającym znaki. Zdaniem Kahnweilera abstrakcja, naszym takich znaków nie stwarzają, nie zmuszają do odczytywania i dlatego są one sztuką oficjalną popieraną przez rząd wielu krajów. Sztuka, która się podoba i której narodzinom nie towarzyszyły skandale i drwiny. Impresjonizm i kubizm dlatego wywołały takie reakcje publiczności, że ukazywały naturę inną niż widział ją odbiorca. Do stworzenia znaku, formy jedynej, syntetycznej dla danego przedmiotu dążył więc kubizm i dlatego był tak trudny do odczytania w ostatniej swojej fazie. A wszystko, co działo się w sztuce w początkach XX w. było tylko odwiecznym buntem synów przeciwko ojcom. Kubizm sprzeciwił się impresjonizmowi ale zawdzięczał mu wiele. Surrealiści buntowali się przeciwko rygorom kubizmu zarzucając mu m. in. brak elementów poetyckich ale i oni opierali się na kubizmie Zasade kierunku — malować to wszystko, co się wie o przedmiocie surrealiści poprowadzili tak daleko, że stworzyli malowaną literaturę. Braque powiedział: „Należy (...) pamiętać, że malarstwo, to nie jest sztuka robienia wszystkiego”. Nadrealiści twierdzili, że malarstwem można zrobić wszystko. Ta kontrower-

sja uwidoczniła się m. in. w tematyce obrazów.

Heroiczny okres narodzin kubizmu jest dziś legendą. W dobie obecnej pojawienie się nowego kierunku odbywa się w sposób zgoła inny. Przeróżająca samotność Picassa w okresie, kiedy malował „Panny z Awinionu” nie znajdzie dziś swojego odpowiednika. Był niezrozumiany nawet przez swoich najbliższych przyjaciół, którzy potem stali się współtwórcami kierunku. Braque, patrząc na „Panny” mówił, że wygląda to tak, jakby ktoś napił się nafty, żeby pluć ogniem.

Przy okazji wspomnień o Rousseau, który do Picassa mawiał: „My obaj jesteśmy największymi, ty w rodzaju egipskim, ja w rodzaju nowoczesnym” Kahnweiler czyni uwagi odnośnie malarstwa naiwnego, charakteryzującego się tym przede wszystkim, że nie siedzi w danej epoce. Rousseau mógł malować pięćdziesiąt lat wcześniej i dziś także — z różnicą kilku kostiumów zaledwie. A malarz powinien wiedzieć co robi. Interesujące są uwagi Kahnweilera co do miejsca i roli malarza w przyszłym społeczeństwie. Bez wątplenia głównym odbiorcą jego wytworów stanie się państwo. Nie bezpieczeństwo leży jednak w tym, że osoby dysponujące na ten cel funduszami nie znają się na malarstwie i nie nie wskazuje na to, aby w tej materii uczynić mieli jakieś postępy. Natomiast wydaje się, że malarze stalogowoi istnieć będą zawsze, bowiem jak mówi Leger: „malując wielkie ściany mogą sobie pozwolić na formy nie nie znaczące, w obrazach jest to niepodobiestwem”.

Daniel-Henry Kahnweiler „Moje galerie i moi malarze” PIW — 1963.

Pod tym tytułem ukazała się w ubiegłym roku w Londynie książka dwóch autorów: ekonomisty J. Pindera i historyka R. Prycea. (Europe after de Gaulle, stron 191). Autorzy omawiają właściwie tylko jeden problem: jak odejście gen. de Gaulle'a może być wykorzystane przez dyplomację angielską dla wprowadzenia Wielkiej Brytanii do Wspólnego Rynku. Nie jest to jednak jedynie broszura polityczna, sporo miejsca poświęcono w niej historii powołania organów europejskich, autorzy cytują szereg opracowań na temat wspólnego rynku, europejskiej integracji, kryzysu złota i dolara, współzawodnictwa Europy ze Stanami Zjednoczonymi, problematyki europejskiej technologii i postępu technicznego, amerykańskich inwestycji w Europie. Podstawową tezę autorów jest, że ustąpienie de Gaulle'a stwarza dla dyplomacji angielskiej szansę wejścia do unii europejskiej i rozbudowy jej agendy. Przekonani są bowiem, że zjednoczenie Europy jest koniecznością.

Jednym z założeń jest powtarzana od 1948 przez wielu działaczy „ruchu europejskiego”, teza, że państwa narodowe należą do przeszłości, że rozbięcie Europy na małe państwa przypomina „rozbięcie feudalne”, z którego należy wyjść, aby móc w polityce i ekonomii supermocarstw zacząć odgrywać rolę czynnika o jakimś znaczeniu.

W. Brytania, która uczestniczyła w montowaniu Europejskiej Wspólnoty Obronnej niedoszedł do skutku na skutek oporu francuskiego Zgromadzenia Narodowego w r. 1954, nie podpisała układów rzymskich w 1955, nie weszła do porozumienia w sprawie węgla i stali. Zgłosiła akces do wspólnego rynku w r. 1961 i 1967 z takimi zastrzeżeniami, że de Gaulle mógł łatwo nie dopuścić do połączenia Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej z tzw. strefą wolnego rynku sterlingowego zmontowanego przez Anglię z krajów północnych. Ustąpienie de Gaulle'a stwarza otwartą drogę dla inicjatywy rządu W. Brytanii w sprawie rozszerzenia wspólnego rynku i wzmocnienia organów unii europejskiej. Autorzy książki są przekonani bowiem, że dotychczasowa działalność organów europejskich jest zbyt negatywna, ograniczona niemal wyłącznie do zniesienia barier celnych, choć i to posunięcie przyniosło dodatnie skutki w postaci wzrostu eksportu.

Krajom europejskim grozi zejście do rzędu satelitów Stanów Zjednoczonych, wzrost inwestycji kapitału amerykańskiego w Europie zachodniej powoduje, że coraz więcej i to największych firm europejskich z angielskimi włącznie, stają się uzależnione od finansów amerykańskich. Proces rozpoczął się od sławnej „pomocy” Marshallowskiej. Rozdział między postępem technologicznym w Stanach i zresztą także w ZSRR, nie maleje lecz z roku na rok wzrasta. Jedynie wyjście do zjednoczenia Europy, które umożliwiłoby powołanie dostatecznych funduszy na badania naukowe, na kształcenie nowych kadr, na powstrzymanie znanego „drenażu móz-

gów” tzn. odpływu wykształconych w Europie fachowców do Ameryki, gdzie ofiaruje im się lepsze warunki materialne.

Ostatnie informacje o trudnościach finansowych Stanów pozwalają się obawiać o stałość wartości dolara. Sam funt sterling jest zbyt słabą walutą, by móc zastąpić funkcje dolara w międzynarodowej wymia-

łowy ze Stanami Zjednoczonymi, bo może konkurować tylko w zakresie przemysłu tekstylnego, odzieżowego i mineralnego, a nie ma żadnych szans dorównania i konkurencji z amerykańskim przemysłem chemicznym, maszynowym, elektrycznym. Wejście Anglii do EWG może spowodować powołanie wspólnych organów gospodarczych umożliwiających rozwój badań przestrzeni kosmicznej, budowy maszyn matematycznych, unowocześnienia lotnictwa, budowę rakiet.

Przystąpienie Anglii do wspólnego rynku miałyby także poważne konsekwencje polityczne. Autorzy omawianej książki są przekonani, że rozszerzona Unia Europejska będzie posiadać dość silne konwencjonalne, aby sprostać konwencjonalnym siłom ZSRR, obecność wojsk amerykańskich w Europie zachodniej stałaby się zbędna, a wówczas wzrosłyby szanse odprężenia w stosunkach dwu supermocarstw: USA i ZSRR. Zjednoczona Europa mogłaby oferować w Moskwie zgodę na utworzenie strefy bezzatomowej w Europie środkowej. Wszystko to razem stwarzałoby jakies realne szanse dla powszechnego rozbrojenia.

Mamy w książce wywody usiłujące przekonać społeczeństwo angielskie, że kraje Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej stylem życia, poziomem ekonomicznym, ogólną kulturą nie odbiegają od standardu angielskiego. Nawet w zakresie zatrudnienia w rolnictwie co roku rozpiętość między Anglią a Francją i NRF maleje. Z drugiej strony wywody zmierzają do osłabienia obaw żywnościowych przez rząd radziecki co do wzrostu roli NRF, a zwłaszcza Bundeswehry w na nowo zmontowanej Europejskiej Wspólnoty Obronnej. Autorzy argumentują, iż rola i pozycja NRF przez przystąpienie Anglii nie wzrosła w zjednoczonej Europie lecz zmalała w stosunku do roli NRF w EWG.

Autorzy książki są przekonani o zasadniczej sprzeczności w linii politycznej, którą reprezentował de Gaulle: chciał on eliminować wpływ amerykański w Europie, a jednocześnie był przeciwny rozszerzeniu kompetencji organów Unii Europejskiej. Gdyż jedyną drogą do gospodarczego uniezależnienia się Europy od Stanów wiedzie poprzez jej zjednoczenie. Zjednoczenie to zresztą nie jest źle widziane w Waszyngtonie, przeciwnie amerykańscy sekretarze stanu i w latach czterdziestych, i ostatnio, dawali wyraz swym sympatiom dla ruchu europejskiego. Ruch ten był finansowany ze Stanów, Europejska komisja gospodarcza planu Marshalla była zalążkiem myśli o gospodarczej wspólnocie europejskiej. W Stanach Zjednoczonych pojawiają się głosy podkreślające ciężar utrzymywania wojsk amerykańskich w Europie. Tendencje izolacjonistyczne nigdy nie zostały całkowicie wyparte z amerykańskiego punktu widzenia.

Zjednoczenie Europy umożliwi jej dostarczenie krajom rozwijającym się znacznie większej pomocy niż to się dzieje dotychczas w ramach

istniejącej EWG. Przywrócono by w ten sposób Europie, częściowo przynajmniej, dawne miejsce w świecie, które jej się należy z racji stopnia rozwoju gospodarczego.

Autorzy stawiają tezę, że Zjednoczona Europa będzie kroczyć pod względem gospodarczym jakąś drogą pośrednią między skrajnym indywidualizmem inicjatywy prywatnej Stanów Zjednoczonych a skrajnym kolektywizmem ZSRR.

Oczywiście, Zjednoczona Europa nie może być tylko superkartelem. Sprawy ubezpieczeń społecznych, poziom płac, nowy sprawiedliwy bardziej podział dochodu społecznego winny stać się celami organizacji powołanych wspólnie. Organizacje te powinny przejąć coś z ducha amerykańskiego ustawodawstwa antykarтельного (antytrustowego). Pewne kroki w zakresie przesunięcia siły roboczej, przekwalifikowania i dokwalifikowania robotników, a także ich partycypacji w zarządzaniu przedsiębiorstwami zostały już poczynione w europejskiej wspólnocie węgla i stali.

Autorzy książki są przekonani, że osiągnięcie pełnej i efektywnej współpracy gospodarczej nie jest możliwe bez jednoczesnego powołania organów politycznych — wspólnych. Przewidują nawet bezpośrednie wybory do europejskiego parlamentu, ogólnoeuropejskie polityczne partie, ogólnoeuropejski system podatkowy, bo władze centralne nie mogą opierać się jedynie na dotacjach poszczególnych rządów. Są to oczywiście sprawy nie na najbliższą przyszłość. Tak zjednoczona Europa będzie ekonomicznie silną, by po-

myśleć o podniesieniu regionów zaniedbanych na terenie krajów członkowskich (np. odwieczne zaniedbane południe Włoch), ale też będzie w stanie ofiarować Europie wschodniej warunki kredytowe, których rozmiary dotychczas były daleko niedostateczne. Sama zaś uzyska możliwość stawiania kapitałowi amerykańskiemu inwestującemu w Europie warunków co do celowości inwestycji i transferu zysków.

Wywody budzą w nas dwa zastrzeżenia: pierwsze dotyczy okoliczności, że w książce znacznie więcej miejsca poświęcono zagadnieniom obrony Europy niż zagadnieniu rozbrojenia, choć jedną z podstawowych tez jest, że zjednoczenie ma służyć odprężeniu międzynarodowemu zwłaszcza na osi Waszyngton — Moskwa.

Druga uwaga to przypomnienie, że tzw. ruch europejski po wojnie był inicjowany i finansowany z Nowego Jorku, że hasło zjednoczenia Europy w okresie tzw. zimnej wojny było przede wszystkim lansowane dla odparcia „komunistycznego” niebezpieczeństwa. Dlatego to wśród najgorliwszych „europejczyków” znalazł się kanclerz NRF Konrad Adenauer. Pamiętamy, że jednym z efektów programu zjednoczenia Europy stała się remilitaryzacja Niemiec.

Na zakończenie można jeszcze zauważyć, że autorzy piszą czasem o sfederowanej Europie jako o „Stanach Zjednoczonych Europy”, nie powołują się jakoś nigdy na przykład federacji szwajcarskiej i także nigdy na przykład federacji, jaki daje ZSRR.

PROF. DR
JÓZEF DUTKIEWICZ

Europa po ustąpieniu de Gaulle'a

nie. Oczywiście nie ma żadnych szans frank francuski. Tylko powołana przez Radę Europejską nowa waluta europejska oparta o zasoby złota Anglii i krajów EWG mogłaby rywalizować z dolarem.

Polityka angielska w swej nieufności do krajów nie mówiących po angielsku, dotychczas próbowała konstruować przy udziale Stanów Zjednoczonych obszar wspólnego rynku Atlantyckiego. Nie dostrzegano przy tym, iż w tym układzie siła Anglii nie jest równorzędnym partnerem dla potęgi ekonomicznej Stanów. Inaczej będzie w rozszerzonej Unii Europejskiej, gdzie partnerzy są na podobnym poziomie średnich państw.

Próby zrównoważenia wpływów USA poprzez oparcie się na krajach Wspólnoty Brytyjskiej oraz krajach północno-europejskich tzn. strefy sterlingowej są skazane na niepowodzenie, bo spośród dawnych angielskich dominów Kanada, Australia, Nowa Zelandia są już dziś tyłoma węzłami ekonomicznymi połączone ze Stanami Zjednoczonymi, że nie mogą sobie pozwolić na żadną politykę gospodarczą podkreślającą niezależność od dolara. Sama Anglia nie może zgodzić się na obrót bez-

ale także poważniejszych. Członkowie załogi mają oznaczone grupy krwi w razie konieczności transfuzji.

Dr Tadeusz Hornowski jest etatowym pracownikiem Portowej Służby Zdrowia, przeszklonym w Instytucie Medycyny Morskiej. Nasza, przeszło godzinna rozmowa była przerywana kilkakrotnie przez zgłaszających się z różnymi dolegliwościami pasażerów statku i marynarzy. Skargi dotyczyły najczęściej bólu głowy, serca, żołądka itp. Był to przeciętny przekrój dolegliwości pacjentów na wszystkich statkach, chociaż zdarzają się i poważniejsze przypadki.

Dr Hornowski wykonywał trepanację na pełnym morzu. Pacjent doznał urazu czaszki i obawy szybko narastającego wzmocnienia ciśnienia śródczaszkowego nie pozwalały na leczenie zachowawcze i odłożenie zabiegu operacyjnego do czasu przybycia do najbliższego portu.

Dr Tadeusz Antkowiak, asystent III Kliniki Chirurgicznej w Gdańsku opowiadał mi w czasie rejsu do zatoki Fińskiej o 48-godzinnym sztorcie, który spowodował chorobę morską u 122 pasażerów, w tym przy padki: hysterii i dwa stany zawałowe serca. Podczas

kilkumiesięcznych podróży do Chin, Indonezji, Japonii zdarzają się nagłe psychiczne zaburzenia u pasażerów lub członków załogi, które wymagają niezwykłej czujności ze strony personelu służby zdrowia. W ciężkich przypadkach, kiedy lekarz ma wątpliwości dotyczące rozpoznania lub leczenia za sięga opinii specjalisty w Gdyni przez Radio — Medical. Tą drogą uzgadnia też, w wyjątkowych sytuacjach decyzję zawniecia do najbliższego portu i przeka zania chorego do szpitala.

Polska służba zdrowia ma w świecie dobrą opinię. Często z jej usług korzystają na morzach i oceanach załogi obcych okrętów nie posiadających własnego lekarza.

Nestorem polskich lekarzy okrętowych jest dr Władysław Sarnecki — internista, pływający aktualnie na „Stefanie Batormy”.

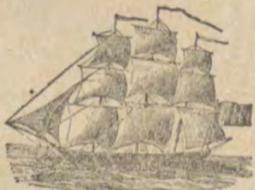
Ń sposób zapomnieć o personelu średnim, który chlubnie zapisuje się w opinii polskiej, morskiej służby zdrowia. Pani Kazimiera Gotwald — pielęgniarka, o piętnastu lat etatowa pracownica PLO, poważnie się do tego przyczynia. Położna i pielęgniarka Danuta Zdar nowska, pływająca od siedmiu lat, jest także związa-



Andrzej Grun. „Ziemia jałowa”

ZBIGNIEW LAPIŃSKI

Pływające szpitale



niach, stąd lekarze i pielęgniarki są delegowani w poszczególne rejsy.

Zaangażowanie na statek jest najczęściej okresowe, personel służby zdrowia po skończonym rejsie wraca do miejsca pracy na lądzie. Kadra lekarska rekrutuje się przede wszystkim spośród mężczyzn, chociaż jest znane nazwisko dr Ireny Pawłowieckiej, która doskonale radziła sobie jako lekarz okrętowy w rejsach na Daleki Wschód.

Podczas ostatniej podróży „Batorego” do Skandynawii, korzystając z uprzejmości dr Tadeusza Hornowskiego zwiedzam pomieszczenia szpitalne statku. Składają się one z sali kobiecej i meskiej liczących po osiem łóżek oraz oddziału zakaźnego. Sala zabiegowa jest wyposażona w zestaw narzędzi umożliwiających wykonanie zabiegów nie tylko z zakresu drobnej chirurgii,

Armatorzy PLO — Gdynia i PZM — Szczecin przyjmują na swoje statki pasażerów lub turystów Orbisu, Gromady, albo Juventuru zapewniają im jednocześnie opiekę lekarską. Na statkach przewożących sześćdziesiąt osób musi być lekarz. Statki przebywające po kilka dni w morzu, bez zawijania do portów i pokonujące długie dystanse wodne mają na swoim pokładzie jednego, a nawet — w zależności od ilości pasażerów — dwu lekarzy i pielęgniarkę.

Armatorzy angażują pracowników służby zdrowia i Opieki Społecznej, mając stale zaplecze w personelu zatrudnionym w obwodowych portowych przychod-

na etatem z PLO. W trakcie swoich rejsów do Kanady, na Wyspy Kanaryjskie, po Morzu Śródziemnym i Karaibskim odebrała na statku cztery porody, a kłopoty z pasażerką — Finką, którą ledwie zdążyła dowieźć do oddziału położniczego w Southampton wspomina z uśmiechem do dzisiaj.

Zatrudnione na pasażerskich jednostkach oceanicznych pielęgniarki mają wielospecjalistyczne wykszolenie, poprzedzone pobytami w różnych oddziałach lecznictwa zamkniętego. Ich tryb życia na pozór atrakcyjny, jest w rzeczywistości ciężkim, monotonnym zajęciem, z ustalonymi godzinami pracy i odpoczynku zmieniającym się przez całą dobę, jak wachty okrętowe.

Wielu lekarzy, z którymi rozmawiałem, podkreślało specyficzny charakter swojej pracy. Ich opinia była jednoznaczna: na okręcie poza przyjętymi ogólnie usługami leczniczo — profilaktycznymi lekarz musi być dobrym psychologiem. W trakcie długomiesięcznych rejsów skłonność do depresji, przygnębienia oraz nostalgia są trudniejsze do zwalczania wśród uczestników podróży niż dolegliwości fizyczne.

Zarządzenie dyrektora P.P. Żegluga Gdańskiej z dnia 22. III. 1965 r. wprowadza regulamin pracy lekarza okrętowego w zakresie gospodarki lekarskiej oraz leczenia profilaktycznego. Jest tam następujący ustęp: „Z wszystkich udzielonych porad i przyjęć ambulatoryjnych lekarz powinien prowadzić dokładną dokumentację dotyczącą leczenia wszystkich osób”. Dochodzi do tego szeregu innych, surowych wymagań jak: pismenny raport z gotowości statku do wypłynięcia w morze, ewidencja wydanych leków, sprawozdanie na piśmie ze stanu zdrowotnego i higienicznego załogi oraz pasażerów. Po zakończeniu rejsu lekarz okrętowy jest zobowiązany wysłać sprawozdanie do kilku instytucji, uwzględniając w nim szereg punktów, zajmujących całą stronę regulaminu.

A więc, nawet i tutaj błąd rękrota nie uwzględnia faktu, że statek stanowi ruchome i często bujające się podłoże, co niewątpliwie przeszkadza w nadmiernym rozpisywaniu się.

Taki jest charakter lekarza okrętowego i trudno rozstrzygnąć, czego w niej więcej, blasków czy cieni?

Widowisko, o którym zamierzam pisać, zaczęło się w sposób interesujący. Autorka scenariusza, Elżbieta Pallasz, chciała potraktować rocznicę wydarzeń wrześniowych w sposób niezwykły. Jedyną na to receptą jest sięgnąć do dobrej literatury.

Aktorzy przemówili więc słowami Jarosława Iwaszkiewicza, Jana Parandowskiego, Kazimierza Brandysa i innych. Każdy z dobrych pisarzy ma styl własny, niepowtarzalny. Dzięki temu można rozpoznać jego autorstwo nawet jeśli przypadkiem nie zna się innego tekstu.

Sprawdziło się to właśnie w programie „Czas, który minął”, nadanym z Warszawy w przeddzień 31 rocznicy wybuchu wojny. Można było zabawić się skutecznie w odgadywanie autorów poszczególnych fragmentów, składających się na całość wypowiedzianego tekstu. Była to przyjemna gra intelektualna.

Dalszym smakiem programu były zderzenia stylów pisarskich. To tak jakby ci pisarze wiedli między sobą bezpośrednią rozmowę na temat przeżyć wrześniowych. Na tych stykach właśnie, gdzie kończył się tekst jednego autora a zaczynał drugiego, powstawało pewne napięcie dramatyczne, wprowadziło niekonfliktowe, ale wynikające z odmiennego sposobu przeżywania i indywidualnej skali wrażliwości u każdego z autorów.

Wreszcie jeszcze trzeci pozytywny efekt tak zakomponowanego programu. O kampanii 1939 roku pisało się i pisało wiele. W różnych okresach ujawniali się czasem błędne oceny, czasem dawał o sobie znać brak dystansu do spraw tak jeszcze żywych w pamięci ludzkiej. W pierwszej części omawianego programu doszły do głosu strzępki refleksji, ulamki obserwacji, jednostkowych przeżyć i doświadczeń. Z jego niejednołitego tworzywa zaczynało mimo wszystko powstawać jakaś synteza Września. Nie w skali polityków i strategów, ale w miarę jednostek ludzkich zaginionych w nurcie historycznych wydarzeń i gorączkowo szukających odpowiedzi na dręczące pytania.

Niestety, autorce scenariusza i reżyserowi Wojciechowi Siemionowi nie udało się utrzymać do końca słusznego obranego kierunku. Konfrontację uczuć pisarskich zastąpiła dosłowność inscenizacji, z literackiej estrady zrobiło się nagłe przedstawienie i to — powiedzmy od razu — nie najlepsze. Tak jakby realizatorów opuściło zaufanie do pisarzy, których teksty złożyły się na program.

Całkiem niefortunne było również zakończenie. Jestem wielkim miłośnikiem dokumentarnego pisarstwa Zbigniewa Zielińskiego, ale wypowiedziane przez Zofię Mrozowską fragmenty jego książki o Wrześniu zabrzmiały w kontekście jak przyszyty sztucznie uogólniający komentarz. Niespójność jego charakteru z poprzedzającymi go fragmentami była rażąca.

W dodatku tej samej aktorce kazał reżyser przejść bezpośrednio od historycznych scen Zaluskiego do fragmentu opowiadania Marii Dąbrowskiej „Jęsiotka”. Logika takiego przejścia była nie do obronienia już w pomysłach scenariuszowych. Powierzenie obu tekstów tej samej wykonawczyni uwyppukliło jeszcze niefortunność doboru.

Zła koncepcja realizatorów spowodowała, że i znakomite pisarstwo Dąbrowskiej zagralo przeciw całości widowiska, zamiast je wzmocnić.

Błędy scenariuszowe widowiska nałożyły się na nienajlepsze pomysły reżyserskie, z których wiele odznaczało się wtórnością i powielaniem stereotypów użytych już w różnych telewizyjnych programach estradowych. Nawet sam Siemion powtarzał dość bezbarwnie swoje znakomite kreacje telewizyjne z przeszłości.

Zdarzały się w programie i dobre pomysły. Na przykład, gdy autor wypowiedzi tekst bodaj Terleckiego o licealistach biorących udział w walce, zawieszając na wieszaku czapkę uczniowską obok wojskowych rogatywek.

W sumie program rozczarował, choć realizatorzy byli o krok od sukcesu, ale krok to w dziedzinie artystycznej nieraz bardzo dużo.

Władysław Gronowicz

Listy do Redakcji

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

W 29 numerze „Odgłosów” z 19 lipca br. ukazał się wywiad z dyrektorem Wydawnictwa Łódzkiego, Wiesławem Jażdżynskim, w którym znalazły się sformułowania, wymagające pewnego sprostowania.

Rozumiem trudności Wydawnictwa Łódzkiego, bo sam stykam się z podobnymi i chyba licznymi (co może wydawać się dziwne w „centralnym” wydawnictwie, ale niestety tak jest...), ale nie wydam się mi się słuszne mniemanie, że wszelkie kłopoty można zlikwidować przez wydawanie klasyków literatury. Według Dyrektora Jażdżynskiego wydawanie klasyków „wymaga najmniejszej pracy redaktorów”, ponieważ „Sienkiewicz i Prusa adiuśtowanie nie trzeba”. Mniemanie takie, uzasadnione psychologicznie rozgorczyeniem, jest całkowicie błędne.

Od dwudziestu przeszło lat opracowuje wydania klasyków polskich, od kilkunastu opiekuje się też wydawaniem całej spuścizny Sienkiewicza, Prusa i Reymonta, i mogę stwierdzić, że nie tylko trzeba

adiuśtować każde wznowienie utworów klasycznych (choćby ze względu na nieustanne zmiany za sad ortografii, dzięki czemu zbliżamy się do dwudziestego już wydania „Zasad pisowni i interpunkcji” Jodłowskiego i Tasszyckiego), ale praca w wydawnictwie nad ustale niem tekstu krytycznego, czy choćby tylko popraw nego, należy do najtrudniejszych i pochłaniających duże środki finansowe.

Wydawanie utworów klasycznych byle jak stanowiłoby przestępstwo nie tylko wobec niezujących wielkich disarzy, lecz tak że wobec społeczeństwa, które ma prawo czytać świetne powieści czy opowiadania Sienkiewicza lub Prusa w postaci poprawnej i nieskazanej.

Zamiast długich wywodów o żmudnej pracy tekstologicznej odsyłam za interesowanych czytelników do not wydawniczych przy już wydanych tomach „Pism” Reymonta. Tutaj dodam tylko, że edycja „Kronik” Prusa, która wreszcie dobiega końca, pochłonęła dwadzieścia lat pracy prof. Szwejkowskiego i kilku redaktorów w wydawnictwie. Już choćby ten fakt powinien świadczyć przekonująco, że wydawanie klasyków wymaga wcale nie najmniejszej pracy redaktorów.

Można do klasyków podchodzić i w inny sposób. Po likwidacji w „Książce i Wiedzy” działów literatury pięknej w roku 1952 dzieła Orzeszkowej przekazała „Czytelnikowi”. Wówczas czas zbiorowe wydanie dzieł tej pisarki nie było

jeszcze zakończone. W małym zynopisie przygotowanym do druku znajdował się tom LIII, a reszta materiałów publicystycznych miała wejść do tomu LIV. Jednak „Czytelnik” nie wydał nawet tomu LIII (w którym miały się ukazać m. in. opowiadania po minięte w tomach poprzednich), nie mówiąc już o koniecznej kontynuacji prac edytorskich nad tomem LIV. Całe zainteresowanie „Czytelnika” Orzeszkową przejawiało się w wydawaniu wyborów, obejmujących chodliwie istotne utwory. Bywa i tak, ale chyba społeczeństwo oczekuje innej opieki nad spuścizną klasyków.

A co do „wiana”... jedno z wydawnictw prowincjonalnych (nie uważam tego określenia za pejoratywne, bo nawet największe wydawnictwo poza Warszawą nie może być stołecznym) wyraziło chęć wydawania lektur szkolnych. Pozytywnie, którejż żądano, odstąpiłoby bez żadnych przetargów — nawet całkowicie opracowaną, bo była już niejako, kilkakrotnie wznawiana. Po kilku miesiącach otrzymałmy ten tytuł z powrotem. Kalkulacja, przeprowadzona w wydawnictwie prowincjonalnym, wykazała deficytowość pozycji przy jej obecnej cenie, do której dla uczniów liceów... Blizszych informacji w tej sprawie chętnie udzielimy Dyrektorowi Jażdżynskiemu.

W sprawie nakładów również możemy podać ciekawe dane liczebne. Na zamówienia ponad 100.000 egz. odpowiadamy od lat wydawaniem 20—30.000 egz. i nie rozdieramy szat z

tego powodu, bo wiemy, że to nam nie zwiększy przydziału papieru ani mocy produkcyjnych, co od dwóch lat stało się pięcią Achillesową całego ruchu wydawniczego.

Łączę wyrazy szacunku

Kierownik Redakcji
Klasyków Polskich
T. JODEŁKA-BURZECKI

★
WIELCE SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Pani Irena Dziedzic swoim występem na Festiwalu Sopotkim dowiodła nie- zbitnie, że mówi znakomicie wieloma językami, na wet wtedy, gdy jak mi się zdawało, mówiła po polsku. Ież tam było francusko-angielskiej akcentacji, ile wspaniałej barokowej sztuczności, ile wreszcie cywilnej odwagi! Pani Irena bowiem pronuncjując cudownie, niekiedy lepiej od naszych pieśniarzy, tworzyła przy okazji piękne nowotwory gramatyczne, niesłusznie dotąd uważane za błędy. Kilkakrotnie poprawiała ortografię, a przynajmniej trudno to uczynić w mowieniu! A ona to potrafi. Aż dziw, że pani Irena nie wystąpiła dotąd w Radiowym Poradniku Językowym.

Wielkość, Panie Redaktorze, musi być oryginalna, a co za tym idzie — szeroko propagowana. Dzięki pani Irene Dziedzic zrozumieliśmy wreszcie, jak nieporadnie usiłuje ją naśladować pewna aktorka z Warszawy, pani Irena E.

Łączę serdeczne pozdrowienia
Grzegorz Kulawiński

POLONICA

ARCHITEKT KTORY ZOSTAŁ TWORCĄ TEATRÓW

Pamiętamy wizyty Jugosłowiańskiego Teatru Dramatycznego w naszym kraju. Wraz z tym zespołem przyjeżdżał jego dyrektor, uroczy i pełen zapалу artysta, Bojan Stupica. Jego inscenizacje, szczególnie sztuki Marina Derzicza „Maroje” wywarły znaczne wrażenie. Obecnie z Belgradu przychodzi wiadomość, że po ciężkiej chorobie Bojan Stupica zmarł w tym miesiącu, w 61 roku życia.

Był jeszcze w pełni sił, Niedługo przed śmiercią, mimo choroby, zdołał jesz-

eze wyreżyserować nową sztukę. Z zawodu architekt, już w czasie fachowych studiów odkrył w sobie teatralne powołanie. Mając 22 lata po raz pierwszy wyreżyserował spektakl. Potem wystawiał Szekspira, Mollera, Gołdoniego, Giraudoux, Camusa, Marcela Aymę, a przede wszystkim autorów jugosłowiańskich: Cankarę, Nusię, Krleżę, Derzicza, „Wuj Maroje” Marina Derzicza w reżyserii Stupicy osiągnął aż 500 przedstawień. Przed 25 laty przyczynił się Stupica do powstania pierwszej wspólnej sceny reprezentacyjnej wielonarodowego państwa, Jugosłowiańskiego Teatru Dramatycznego. Nie spoczywając jednak na laurach stworzył jeszcze awangardowy „Warsztat 219” (gdzie grano sporo sztuk

polskich), zorganizował międzynarodowy festiwal teatrów nowatorskich BITEF, a ostatnio — Nowy Teatr Kameralny. Jako pedagog wychował całe pokolenie nowych aktorów, reżyserów i scenografów, których nauczył cenić teatr i rozumieć jego potrzeby. Gościnnie reżyserował w Paryżu, Moskwie, Budapeszcie, Bukareszcie, Wiedniu, Pradze i Bazylei. Przyjacielem naszego kraju, zapraszał nieraz polskich inscenizatorów. Położył również i zasługi filmowe, np. realizując jeden z pierwszych jugosłowiańskich obrazów pt. „Jara gospoda”, gdzie przygotował scenografię i występował jako jeden z protagonistów.

(W. N.)

**„KONIEC WAKACJI”
DOMAGALIKA
W JĘZYKU
NIEMIECKIM**

Książka młodzieżowa „Koniec wakacji” Domagalika, wydana przed laty przez „Naszą Księgarnię”, zainteresowała austriackich wydawców.

Przekładu powieści dokonał O. J. Tauschinski. Maszynopis tłumaczenia już został złożony do druku. Ukazania się austriackiego wydania należy spodziewać się z początkiem 1971 roku.

(er)

POLONICA

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



„GANG OLSENA” — taki tytuł oczywiście elektryzuje. A jeśli jeszcze przeczytamy na afiszu: „komedia kryminalna” produkcji duńskiej — kolejni przed kasami zapewnione. Nie będę odstręczał widza od tego filmu bo zabawy sporo, choć reżyser Erik Balling specjalnie się nie wysilił.

Pomysł jest mocno wyeksploatowany: przygody pechowego włamywacza i jego kumpli, ale całość zrealizowano zgrabnie. Film jest duński, mamy więc w nim także — choć trochę na przyczepkę — problem pornograficznych wydawnictw, z którymi walczy pechowy i bardzo śmieszny wywiadowca policji. Akcja rozgrywa się więc w otoczeniu witrzyn i kiosków z „rozebranymi” czasopismami — opis wypisz-wymaluj jak w reportażach ze Skandynawii publikowanych przez naszą prasę.

Jak przystało na komedię kryminalną mamy i happy-end z morałem, mamy finałowy pościg... Bohaterowie uciekają limuzyną, autem inspektora, dzwigiem, pociągłem, wozem meblowym — są bardzo zabawni jak zresztą wszyscy w tym filmie. Jest tu także

wpleciony w akcję motyw nie bardzo prywatnego przedsiębiorstwa na pięterku knajpki.

I oczywiście clou filmu, „Wielki skok” gangu Olse na złotą statuetkę ze szmaragdem. Trójce włamywaczy udaje się wykraść strzeżony przez policję eksponat wartości 12 milionów. Operacja przeprowadzona jest z sekundowością ustępuje on choćby naszym gangsterom z komedii „Gangsterzy i filantropi”. Dla gangu Olse na problemy zresztą zaczynają się dopiero potem — po udanej kradzieży.

Nie jest to więc film rewelacyjny, ale zrealizowany z humorem, z wartką akcją i zabawnymi dialogami, z kalejdoskopem rodzajowych scenek i obserwacji. Przeciwna komedia bez specjalnych ambicji, ale ogląda się ją z przyjemnością.

★

Bulgaria — lata drugiej wojny światowej. Z samolotu wyskakuje ośmiu bułgarskich komandosów wysłanych do kraju z zadaniem włączenia się do walki z faszystami. Spadochroniarze wpadają w zasadzkę — wymyka się z niej po dramatycznej walce — Osmi. Taki też jest tytuł filmu reżysera Zako Cheskiego. „OSMY” zaopatrzony jest w

motto — „Poległym i żywym bohaterom, którzy wywalczyli wolność naszej ojczyzny” — to motto najlepiej wyraża cel, który przewidywał realizator. Film jest dramatyczną kroniką dzieł jednego z bułgarskich oddziałów partyzanckich. Dynamicznie opowiedziano klęski i sukcesy — porońnięte lasami wzgórz dudnią terkotem broni maszynowej, przez szeroki panoramiczny ekran przechodzą tyraliery faszystowskiej policji, są zasadzki, nagłe odwroty... Słowem — mamy do czynienia z dobrą batalistyką i ciekawie opowiedzianą historią losów ludzkich w czasach drugiej wojny.

Zbyt wiele jest jednak zasadzek, zbyt dobrze faszystowski pułkownik Gratew zna wszystkie szlaki i posunięcia oddziału Osmego... A więc zdradca wśród partyzantów? Kto nim jest? Może łączniczka Wena, może fryzjer, który wbrew decyzji kierownictwa partii przyłączył się do oddziału? A może jeszcze ktoś inny?

Po kolejnej potyczce z policją w domu ciotki Marii — Osmi już się domyśla, potem następuje kolejna akcja partyzantów i Osmi już wie... Zdradca ginie w pojedynku z dowódcą. Ale jest wojna i rządzi jej nieublagane prawa — ginie także w na-

stępnej akcji ukochana Osmego i młody partyzant, student. A faszysta Gratew wciąż zastawia pułapki i oddział Osmego... Pisząc na temat filmu o sensacyjnej fabule nie wolno odkrywać wszystkich kart.

Myślę zresztą, że łódzkiego widza zainteresuje ten ciekawy dramat partyzancki i będzie miał okazję sam śledzić rozwój dynamicznej akcji „Osmego”. Są to bowiem sprawy bardzo nam bliskie, choć dzieją się w Bułgarii. Jest to bowiem opowieść o naszym ładunku poznawczym — przypominająca zmagania z faszyzmem, takie same przecież na ziemi bułgarskiej i polskiej.

W Bułgarii „Osmi” otrzymał Grand Prix — „Złotą Różę” na Festiwalu w Warnie za najcenniejsze ukazanie rewolucyjnej walki narodu bułgarskiego przeciw faszyzmowi. Nagroda jak najbardziej zasłużona, bo film niesie prawdę o tamtych tragicznych latach — zrealizowano go na podstawie wspomnień uczestnika tych walk gen. Nadelczewa-Czoczołu. Prawdę tę i trud wojennych zmagania podaje w formie atrakcyjnej, pełnej autentycznego dramatyzmu i napięcia.

KINOMAN

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

WYSTAWA FRANCUSKIEJ CERAMIKI

W Muzeum Narodowym Ceramiki w Sevres odbyła się ostatnio interesująca wystawa eksponatów ceramicznych produkowanych we Francji w połowie XIX wieku. Wystawa zgromadziła 380 eksponatów pochodzących zarówno z muzeum jak i zbiorów prywatnych. Są to przedmioty wyprodukowane w różnych ośrodkach ceramicznych m. in. w słynnej na cały świat manufakturze w Sevres.

Myśl stworzenia fabryki porcelany, produkującej przedmioty, głównie naczyń stołowych, wysokiej jakości, nurtowała od daw

cji wysokowartościowej porcelany. Otrzymał subdydia i odpowiednie budynki. Wkrótce jednak kierownik nad manufakturą przejął kto inny podpatrzywszy ich sekret. Prawdziwy rozkwit manufaktury datuje się od połowy osiemnastego wieku, kiedy ośrodek znalazł się pod opieką króla Ludwika XV i produkował porcelanę na potrzeby dworu. Odtąd wytwórnia przechodziła zmienne koleje losu rozwijała się i rozszerzała, a severska porcelana stała się poszukiwana i ceniona na całym świecie. Dziś wytwórnia ta która zawieszona od XVIII wieku znajduje się pod zarządem władz państwowych jest

tylko naczynia stołowe, ale i inne przedmioty z porcelany, jak figurki czy obudowy fontanny.

W STULECIE ŚMIERCI DICKENSA

Jeszcze za życia był czytany i popularny. Ale i latem 1970 roku, w sto lat po śmierci Dickensa, bohaterowie jego powieści pojawiają się na ekranach filmowych i telewizyjnych, na kartach wciąż na nowo wydawanych jego dzieł, w odcinkach po czytanych tygodników. Krytyka, która za jego życia nie szczędziła mu zarzutów lub traktowała go lekceważąco, dziś bezspornie przyznaje, że Charles Dickens był największym powieściopisarzem angielskim swej epoki.

Urodził się w Portsmouth w 1812 roku jako syn urzędnika. Od dwunastego roku życia zmuszony był do pracy zarobkowej, choć jego rodzice bynajmniej nie byli biedni, lecz lekomyślni. Tonął w długach, a ojciec Charlesa poszedł wreszcie za długi do więzienia. Specyficzne to było zresztą owe angielskie więzienie dłużnicze, instytucja nieznana na kontynencie, a tak do brzo opisana w powieściach Dickensa takich jak „Mała Dorrit” czy „Dawid Copperfield”. Ojciec Charlesa uznał wkrótce, że w oym więzieniu nie jest najgorzej i ma przynajmniej spokój od nekających go wierzycieli. Sprowadził więc do więzienia, a prawo angielskie na to pozwalało, żonę i małe dzieci, a Charlesa oddano do pracy w fabryce czerpidła do butów. Później Charles pracuje w drukarni, choć marzy o tym by zostać aktorem. Kiedy miał lat dwadzieścia zdawało się, że spełni się jego marzenie. Ale gdy miał wystąpić na deskach scenicznych, powaliła go przewlekła i złośliwa grypa. Dopiero w dwa

dziesiąta lat później wystąpił na scenie, ale nie jako aktor, lecz jako autor popularnych powieści. Czy



Charles Dickens

dzonych, opuszczonych, biednych, cierpiących. I wierzył, że w gruncie rzeczy ludzie z natury są do brzy i szlachetni.

WODA W LITERATURZE

„Woda w literaturze na przestrzeni wieków” — temat ten nie dotyczy bynajmniej tak zwanego „wo doleństwa” w literaturze. Nad leżącymi walorami wody ukazany w literaturze pięknej debatowali ostatnio pisarze-lekarze na XV Światowym Kongresie Pisarzy-Lekarzy, jaki odbył się w ośrodku terapii wodnej w Padwie. Uczestnicy Kongresu mogli na miej-

scu zapoznać się z nowoczesnymi metodami leczenia wodą.

MUZYKA Z CZASÓW KRZYSZTOFA KOLUMBA

Ostatnio we Francji ukała się płyta z muzyką z czasów Krzysztofa Kolumba. Zawiera ona utwory skomponowane w Hiszpanii w wiekach XV i XVI. Na grał ją zespół muzyczny wokalny w Londynie. Zespół składa się z jedenastu osób, a jego ambicją jest spopularyzowanie muzyki dawnej. Organizatorem tej grupy, która przybrała nazwę Musica Reservata, jest John Beckett, kuzyn pisarza Samuela Becketta. Członkowie tego zespołu muzycznego sperają w bibliotekach w Europie wyszukując nuty starożytnych i zapomnianych utworów jak: ballady, romanse, madrygaly.

ZMARŁ FRANCOIS MAURIAC

W wieku lat 85 zmarł wybitny pisarz francuski, laureat Nagrody Nobla (1952) Francois Mauriac. Problem dobra i zła z punktu widzenia moralności chrześcijańskiej, doszukiwania się psychologicznych przyczyn moralnego lub niemoralnego postępowania ludzi — stały się centralnym zagadnieniem

całej twórczości Mauriaca. Debiutował jako poeta, ale rozgłos przyniosła mu powieść pt. „Pocałunek trędowatemu” (1922). Do najbardziej głośnych powieści Mauriaca należą m. in.: „Pustynia miłości”, „Teresa Desqueyroux”, „Kłębowski zmij”, „Tajemnica Frontenaków”, „Czarne anioły”. Pisał sztuki teatralne jak „Asmodeusz”, „Nie kochani”. Uprawiał też pu



Francois Mauriac



Waza z Sevres według projektu Etienne Hajdu

na we Francji. Nie znano jednak tajemnicy wytworzenia takiej porcelany. Na początku osiemnastego wieku dwaj robotnicy, speccjaliści od wyrobu porcelany zdobyli w jakimś spo

pod opieką Ministerstwa Kultury. Zatrudniła ona 170 osób personelu. Ostatnio czołowi artyści francuscy zostali zaproszeni do współpracy przy projektowaniu i zdobnictwie. Dodajmy, że wytwórnia porcelany w Sevres produkuje nie

ny w Sevres produkuje nie



ŁÓDZKA
SECESJA

NIEZNANY WYDAWCA 1500 EGZEMPLARZY — PIĘKNE FASADY — WITRAŻE I STUKI — AKCENT PEŁEN WIDZIEKU — CZAS ZAKŁĘTY W ARCHITEKTURZE

Pewien artysta powiedział: „Secesja? moderna? W sztuce są to wielkie kluczy, ale w życiu — w życiu nie dadzą się tak łatwo zrzucić ze schodów. Ciągłe są — pętają się za nami, nawet młodzi przywiązują się do tych form, linii...” To prawda — w życiu secesja wciąż „chodzi za nami”.

I my chodzimy ulicami tego miasta w secesyjnej scenografii ulic. Nie zawsze dostrzegamy ją na elewacjach starych łódzkich domów, ale ona jest wokół nas i bardzo ucieszył mnie skromny album poświęcony łódzkiej secesji. Nie wiem kto jest wydawcą tego zeszyciku — opracowali go dr Irena Popławska i mgr Tadeusz Byczko — wydawca natomiast nie zechciał się ujawnić. Wiem tylko z metryczki, że wydrukowano zaledwie 1500 egzemplarzy. Szkoda, że tak ma

ło. Ale do rzeczy. Zwykle

się przypisywać naszemu miastu nazwę „secesyjnego”. Oczywiście niesłusznie — twierdzą autorzy. Architektury secesyjnej mamy na przykład na Piotrkowskiej niewiele. Bardzo często i bardzo umownie określa się mianem secesji architekturę późnego klasycyzmu i tzw. „pluralizmu stylowego” z okresu od pierwszej ćwierci XIX wieku do jego końca. A przecież granice czasowe secesji to lata 1900—1912.

Mamy jednak w Łodzi nieco architektury secesyjnej — dobrze więc że autorzy albumu postawili sobie pytanie o to, czym jest ten styl obywateli w architekturze. Stąd wartość tej skromnej, książeczki wydaje się bezsporna. Tym bardziej dziwi mnie fakt, że ów mały i poligraficznie niewymyślny albumik rodził się latami, że w końcu objawiał się w tak małym nakładzie i nie został odpowiednio zareklamowany.

Do moich rąk trafił zupełnie przypadkowo a nie znając wydawcy nie mogłem nawet ewentualnie zainteresowanych poinformować gdzie tę książeczkę można zdobyć.

Wybermy się jednak w „secesyjną” wędrowkę po Łodzi prowadzoną przez Irenę Popławską i Tadeusza Byczko.

Oto kamienica przy al. Kościuszki 93. Zbudowana ją w 1912 roku — nie wiadomo jednak kto był jej autorem. A fasada jest piękna. Zatrzymajcie się na ulicy i popatrzcie. Zwraca uwagę wyjątkowo piękną dekoracją frontonu nawiązującą do francuskiego typu secesji. Skonstrastowane efekty cienioczerwonej, mocno wypalonej cegły oraz chropawego tynku — płynny fryz o motywach przepływających się wstęg, liczne sztukaterie — różnorodne kwiaty, liście i winogrona. Bramy wejściowe wypełnione efektownymi kratami... Publikowaliśmy kiedyś w „Odgłosach” rysunek młodego łódzkiego artysty — studenta PWSSP Wiesława Karolaka, którego także urzekła owa secesyjna brama. Ma więc rację Daniel Mróz kiedy mówi, że młodzi przywiązują się do tych form i linii...

Idźmy jednak dalej. Przypatrzmy się willi przy ul. Wólczańskiej 31/33. W tym niewielkim jednopiętrowym budynku uwagę

zwraca wyjątkowo bogata dekoracja wewnętrzna i zewnętrzna. Spośród kilku nastu okien każde ma inny wymiar i wykrój. Na tle chropawatego tynku odcinają wyziście starannie wykonane ze stiuku kwiaty stanowiące obramowanie jednego z okien. Inne okno ujęte jest w obramowanie dwu pni o splekanej korze i o gęstej masie liści, splekanych korzeniach, wśród których czai się lis.

Albo zatrzymajcie się na chwilę przed budynkiem przy Siemkiewicza 6. Trzeba wysoko zadrzeć głowę aby w najwyższych partiach fasady dostrzec ciekawą dekorację. Tworzą ją pionowe pasy glazurowanych płytek w tonacji zielono-niebieskiej, opalizujących i zmieniających barwę zależnie od oświetlenia. Na ich tle wyraźnie odcinają się powiększone silnie, stylizowane motywy roślinne wokół okienek poddasza.

A jeśli wejździemy do środka któregoś z secesyjnych budynków — to, kto wie — może trafimy na jakiś piękny witraż — jak choćby ten z labędziami, lub z tańczącą dziewczyną albo z jeźdźcem wśród gór...

Piękna jest łódzka secesja i naprawdę warto zatrzymać się choć na chwilę aby z wieku atomowego wrócić na moment do tamtej „la belle époque”. A jest co podziwiać! W Łodzi znajduje się szereg

budynków w stylu secesyjnym nie ustępujących na ogół zniszczonym dziś w znacznej mierze budynkom warszawskim. Wnoszą one do tej szczególnej mieszaniny stylowej, jaka widzimy w Łodzi — pełen wdzięku akcent i świadczą, że także i w tym okresie architektura naszego miasta nie była Kopicuszkim.

A przecież nie zawsze są znani twórcy tej architektury. Oczywiście budowali w Łodzi Panczakiewicz, Lande, Landau — ale wiele domów stworzyli architekci o nazwiskach mało znanych, autorzy wielu zaś nie są w ogóle znani. Po jednym i po drugim pozostały piękne pomniki minionej epoki choć nazwiska przysypały kurz zapomnienia.

Niewiele dotychczas wiado o secesyjnej architekturze Łodzi — piszą Irena Popławska i Tadeusz Byczko. „Staraliśmy się dać garść informacji na ten temat, a przede wszystkim chcieliśmy zwrócić uwagę na urok i wdzielek, a niekiedy wysoką rangę artystyczną...”

Skromna, niewielka książeczka wypełnia więc jakąś dotkliwą lukę w naszej wiedzy o mieście, ale najważniejsze, że uczy nas innego spojrzenia na historię miasta, na przeszłość i czas zaklęty w fasadach starych domów.

JERZY WIDOK

Bez strachu PODOBIEŃSTWO

Posłuchajcie: Jestem do Kogoś podobny, lub raczej Ktoś jest podobny do mnie, zresztą na jedno wyjdzie — jesteśmy z Kimś do siebie podobni... Ważne, że ów Ktoś mieszka w Warszawie i wiele spraw trzyma w swoim ręku, powiem, krótko że jest Autorem wielu cennych prac z zakresu literatury i nauki o literaturze, a także z zakresu literatury o nauce. Na jego — Podobnego skłoniłem, wznosząc się i opadając wielkością z wszystkich tych dziedzin. Zresztą przed Jego obliczem Wielkość i Małość jest tym samym. A ja sobie jestem do Niego podobny, oczywiście tylko zewnętrznie. Jest faktem, że od czasu do czasu i to w ważnych momentach, biorą mnie za Niego. Oto stoję w jakimś biurze, proszę o coś nieśmiało i już mi odmawiają, nagle wchodzi przelotny odmawiających, patrzy na mnie, mówi: „Asa! Pan u nas w naszym mieście, osobliwie!” Pochyliam głowę, wiem, że zostałem wzięty za Niego. Sprawę zalamy, widać bardzo szybko. Klania się, dziękując, wszyscy podnoszą się przy biurkach i kłaniają się dziękując (za co?). Przełożony stoi z pochyloną głową i mówi bardzo cicho: „Ach, gdyby Pan tak jeszcze kiedyś do nas, ach gdyby...” Wychodzę, zdejmuję duszę z ramienia i kładę do wnętrza. Niekiedy sobie wyrzucam, że nie skorygowałem, nie wyprowadziłem z błędu, ale przecież ja się nie podszycowałem, to oni wzięli mnie za Niego... Trudno, byłbym nosił w rękach napis: „Ja nie jestem Nim!” — nie, tego nikt ode mnie nie może wymagać. Należy raczej upowszechnić wiedzę o tym, kim jestem, a nie o tym, kim nie jestem. Fakt, że w Warszawie żyje On, z którym jesteśmy podobni, skłania mnie do ustawicznych rozmyślań: „Kim ja jestem” — muszę tę kwestię badać, ustalać, precyzować. Jest to źródłem często zarzucanego mi egotyzmu, antyzmu, nerwowości, niepokoju. Stwierdziłem, że podlegam stałym przemianom, nie znam jeszcze granic tych przemian, nie wiem, czy istnieją dla nich granice tożsamości osobniczej. Być może, że odpowiadam za swą jawę, ale czy mogę być pewien snu. Oto śni mi się, że jestem Nim — jestem w Warszawie, skrajnie nie — całkowicie w Warszawie, codziennie w Warszawie, piszę i wszyscy czytają i cytują, mówię i wszyscy pochylają głowy, znajduję posłuch i uznanie, podnoszą i obalam. Nagle przychodzi ktoś do mnie i mówi: „A w Łodzi, to mieszka taki jeden podobny do Ciebie?” i wtedy ja (ten we śnie), będący Nim, marszczy Jowiszowe brwi, a on (ten którym jestem w okresie jawy w Łodzi) drży i przeczuwa coś niedobrego. Budzę się i znowu jestem w Łodzi. Myślę o swoim ciele, podobnym do Jego ciała, mówię swoim głosem, podobnym do Jego głosu, milczę Milczeniem podobnym do Jego Milczenia. Tak męcząc się tym przestawianym sobie podobieństwem, popadam niekiedy w zuchwałą herezję, myślę: „A może ja jestem, a może chociaż bywam Nim”. Zrywam się i krążę podniecony po pokoju. Mówię sam bardzo cicho do siebie (który nie jestem Nim): „Niepodobieństwo! Niepodobieństwo!”

BERNARD SZTAJNERT

Dom Z duchem

— Mamy tu ciekawe ogłoszenie — rzekł Ellis Travers. — Coś dla nas. Podaj gazetę żonie.

„Do Amerykanów: domy na wsi do wynajęcia na kilka tygodni lub miesięcy. Mogą być z duchem lub bez. Chichester Piccadilly.”

— Nie do uwierzenia! — krzyknęła Marjorie. Jej okrągła twarzyczka zarumieniała się z radości.

— Naturalnie, weźmiemy ten z duchem.

— Ależ tak!

— I nie będziemy się troszczyli o cenę?

— Czyżbym była sknerą?

Travers nie odpowiedział i znów zapytał: — czy dom wynajmiemy na miesiąc?

— Tak, lecz z możliwością pozostania tam dłużej, jeśli będzie nam się podobało. Chciałabym kogoś zaprosić.

Travers nie spieszył się, w Londynie nikt nie zaczyna pracować przed dziesiątą. O godzinie jedenastej zjawił się u Chicheстера i przedstawił mu swoje życzenia. A właściwie część swoich życzeń.

— Tak, mamy coś na wsi, niedaleko Cheltenham — stwierdził przedsięwzięta. — Dom stary i bardzo obszerny.

— Musi być z duchem, proszę nie zapominać.

— Tak? To sprawa skomplikowana. Gdzie chciałby pan spotykać ducha?

— Nie rozumiem.

— Mamy duchy w sypialni, na schodach, w hallu. Jak pan widzi, duży wybór.

— W hallu, naturalnie. Czy naprawdę możemy liczyć na jego pojawienie się?

— Od czasu do czasu, to jest zapewnione.

— Czy jest to jakiś duch rodzinny?

— Wszystkie nasze duchy pochodzą od członków rodzin — podkreślił z godnością pan Chichester. — I to starych rodów angielskich. W domu panu oferowanym są kompletne zbroje średniowiecznych rycerzy ustawione wzdłuż schodów i w hallu. I tam właśnie od czasu do czasu można zobaczyć światła i usłyszeć duchy, ich niesamowite szepty, chrząst zbroi.

— To są odgłosy charakterystyczne dla miejsc z duchami — zauważył z powagą Travers.

— Piękna wioska, zabytkowe miasteczko, straszne duchy — zachwycił się Chichester.

Po godzinie podpisano umowę i klucz od domu znalazł się w kieszeni Traversa.

Duch w hallu, to wspaniałe — myślał Travers uśmiechając się szyderczo. Zatrzymał się przed sklepem i przejrzał w szybę wystawy. Był mężczyzną wysokim, atletycznie zbudowanym, miał około trzydziestu lat. Włosy blond, w niebieskich oczach, zimny cynizm. Marjorie wierzyła, że jego spojrzenie wyraża dobroć i miłość. Lecz nie wiedziała, że ożenił się z nią dla jej majątku. Żył z sobą sześć lat, teraz chciał być już wolny. Lecz gdyby się rozwiódł, straciłby pieniądze żony.

Znalazł budkę telefoniczną i nakręcił numer Sherry.

— Laleczko moja! — zawołał, gdy usłyszał jej głos.

— Co powiesz nowego?

— Wynajęliśmy dom na wsi. Z duchami.

— Gdzie? — Wymienił adres.

— Znudziło mi się już czekać, wiesz?

— Ja się nudziłem przez sześć lat a ty jeden rok. Nawet jeżeli to jest długo...

— Ależ ja nie chcę zmarnować mej młodości. Co to za życie...

— Bądź jeszcze cierpliwa!

— Jak długo?

— Już niedługo.

— Co to za historia z tym duchem?

— Będzie bardzo potrzebny. Poczeka, a zobaczysz.

— Albo załatwisz wszystko w ciągu dwóch tygodni, albo wracam do Nowego Yorku.

— Miej do mnie zaufanie! Kocham cię, Sherry!

Wrócił szybko do hotelu. Oczy żony były pełne pytań.

— Wynajęłam dom. Na wsi w pobliżu starego miasteczka Cheltenham.

— Duży?

— Bardzo duży. Nasz duch błaga się w hallu na górce i na schodach.

— Ile tam jest pokoiów dla gości?

— Sześć.

— Wspaniale! Zorganizujemy party w drugim tygodniu po naszym przyjeździe.

— Kiedy tam pojedziemy? — zapytał Travers.

— Spiesz się, co?

— Chciałbym załatwić przed odjazdem różne sprawy.

— Za dwa dni, nie wcześniej.

— To mi odpowiada, a nawet bardzo mi odpowiada.

Dom był idealny pod każdym względem — stylowy, urządony komfortowo, szczególnie w pokojach dla gości, z wielkim salonek na parterze przeznaczonym na duże przyjęcia. Marjorie szalała z radości.

Travers podziwiał przede wszystkim zbroje na górnym korytarzu. Było ich sześć. Niektóre trzymały topór w prawym ręku. Ramiona były tak ułożone, iż wywierały wrażenie, że za chwilę opuszczą broń na czołgającą głowę.

Zbadał żelazne druty, stare i zardzewiałe. Nie mogły już długo utrzymać w tej pozycji siekiery i żelaznych ramion. Przy silnym wstrząsie druty mogły się przerwać. Wyjął siekiery z metalowych palców. Ostrze było solidne i dobrze wyostrzone. Pomachał nią ponad głowę i opuścił w dół przecinając powietrze. Potem włożył siekiery między żelazne palce. Zamyślił się.

Poszedł szukać Marjorie. Znalazł ją



na dole. Chodzili razem po domu, zwiedzając każdy zakątek. Gdy skończyli zapytał: — Podoba ci się dom?

— Uwielbiam go! — krzyknęła. Był to jej zwykły sposób wyrażania się: uwielbiam!

— Naturalnie trzeba zaangażować służbę. Dziwne, że agencja o tym nie pomyślała — zauważyła Marjorie.

— Ja to załatwię — przyrzekł Travers. — Jutro pojedziemy do Cheltenham i kupimy zapasy żywności. Czy to nie piękne, że jesteśmy tu sami, ja i ty?

— Lecz musimy mieć służbę przed przyjęciem, które urządzimy za kilka dni. Jutro wyśle zaproszenia.

Znalazł w mieście kucharkę i odłożył na później angażowanie innych osób do służby.

Zachwył Marjorie rósł. Była pewna, że w nocy słyszała, jak duch chodził po hallu na piętrze. Travers udawał, że jej wierzy, sam nic nie słyszał.

Następnej nocy wybuchła burza, deszcz bił o szyby. Travers niosąc tacę z kieliszkami i trunkiem zatrzymał się w pobliżu zbroi i zobaczył jak drżą przy każdym grzmocie. Skierował się do sypialni żony. Drzwi były otwarte. Marjorie leżała na łóżku biała jak kreda.

— Ellis — wyjąkała słabym głosem. — Ellis! Zda się, że widziałam nasze go ducha.

— Teraz? — zapytał uprzejmie.

— Byłam na korytarzu, czekałam na ciebie. Nagle zobaczyłam oślepiające światło, które zaraz znikło. Patrzyłam, lecz nikogo nie było.

— Ten blysk, to na pewno piorun — rzekł Travers podając żonie kieliszek.

— Gdy wróciłam do pokoju, znów pokazało się światło. Czulałam, że ktoś poruszył się blisko mnie.

— Marjorie, przecież jest burza. Uspokój się, wypij kieliszek koniaku.

Kobieta uspokoiła się trochę. Nagle

usłyszeli hałas i jęk. — Nasz duch — szepnęła blade Marjorie.

— Nie mów głupstw! To wiatr.

— Nie, to duch. Boję się, bardzo się boję...

Travers zbliżył się do łóżka. — Wstawaj, Marjorie, chodź, sprawdzimy osobście. Wyjdziemy na korytarz, zobaczysz, że nie ma żadnego ducha.

— Nie wyjdę!

— Marjorie — rzekł surowo — musisz stąd wyjść!

— Błagam cię, tak się boję!

Wyciągnął ją z łóżka. Oparła się o niego, wzrok miała pełen przerażenia.

— Proszę cię, proszę...

Wyszedł do hallu pogrążonego w ciemnościach. Marjorie dyszała popła kując.

— Ależ to dla twego dobra, kochanie! — denerwował się Ellis.

Ręką ścisnął jej ramiona i zmusił do poruszania się. Hałas burzy i grzmotów był ogłuszający, co chwila błyski rozjaśniały hall. Zatrzymali się obok zbroi. Kobieta ciągle drżała ogarnięta panicznym strachem, wzrok utkwiła w ciemnościach, Travers wyciągnął wolną rękę i wyjął siekiery z metalowych palców. Podniósł broń nad głowę kobiety. Nagle wybuchł grzmot i zabłysło światło. Marjorie krzyknęła: — To duch! to duch!

Mężczyzna ścisnął ramię kobiety i pociągnął ją do tyłu. Spojrzała w górę i zobaczyła siekiery, która na nią spadała. Rozległ się przeraźliwy krzyk. Marjorie upadła martwa.

Travers rozerwał druty, które trzymały podniesioną żelazną rękę. Ramię zbroi opadło w dół. Wytarł odciśnięte palce ze zbroi i siekiery, którą rzucił na podłogę obok Marjorie. Zbadał puls i serce żony, nie było.

Podniósł się i wydal głębokie westchnienie. Nareszcie wolny! Biedna Marjorie! Była w korytarzu, przerażona burzą. Poruszając się w ciem-

nościach poruszyła zbroję. A może drgania wywołane grzmotami spowodowały, że spada siekiery... Straszne, naprawdę straszne!

Myślał o wszystkim chłodno i spokojnie. Najpierw doktor, potem trzeba zwołać kucharkę. Poszedł do sypialni żony i poprosił telefonicznie doktora Coppites. — Proszę natychmiast przyjechać! Moja żona stała się ofiarą strasznego wypadku, jest ciężko ranna. Proszę przyjechać natychmiast, doktorze!

Opuścił słuchawkę. Trzeba teraz pomyśleć o kucharce.

— Brawo, brawo! Był pan znakomity, proszę pana — powiedział jakiś głos w tym momencie.

Travers odwrócił się szybko. W ciemnościach korytarza, słabo rozjaśnionego światłem dochodzącym z sypialni, spostrzegł chudego człowieka z twarzą podobną do chińskiej latarni: blade, bez wyrazu, oświetloną od wnętrza. Na piersiach miał zawieszony skórzany futerał.

— Kim pan jest, do diabła?

— Jestem pańskim duchem — odpo-

wiedział człowieczek. — Zarabiam trzy funty na tydzień, aby urządzać tu i tam charakterystyczne halasy. Musiałem także wywoływać światło.

— Wskazał ręką futerał. — Mam tu aparat fotograficzny, używam lampek, flesz do błysków. Nawet i fotografie wychodzą dobrze. Fotografuję ludzi, którzy poruszają się w ciemnych pomieszczeniach, którzy się boją, z czym mają straszne wypadki.

Zapanowała długa cisza.

— Teraz jednak wszystkie będzie inaczej. Wolę odwiedzać pewnego pana niż lazić po starych domach.

Człowieczek uśmiechnął się. — Zgo-

dzimy się na pięćdziesiąt funtów, miesięcznie, dobrze, mój panie? Na całe życie.

Oprac. A.S.



NIE DEPTAC SLIMAKÓW!

Jedną z podstawowych zasad należytej organizacji zarządzania jest zasada, że należy sprawdzić wykonywanie poleceń. Nakazy, wydane bez kontrolowania ich realizacji, są czczą, zbędną, szkodliwą gadaniną.

Prawa, których nikt nie przestrzega i z kolei nikt o to do nikogo nie ma pretensji, a zwłaszcza takie, których przestrzeganie jest mało możliwe a dopilnowanie w ogóle niemożliwe, są kpiną z prawodawstwa i ośmieszają prawodawcę. Mówiliśmy o tym zresztą już nieraz.

Przy niektórych drogach i traktach na terenie Lasów Tucholskich stoją groźne żółte tablice z napisem: „Wstęp do lasu wzbroniony. Niebezpieczeństwo pożaru.” Nie wiem, dlaczego w niektórych rejonach lasu łatwiej o pożar niż w innych, zwłaszcza gdy te rejonny absolutnie się od siebie nie różnią. Może jakaś tam uczonego prawda tkwi za takim rozróżnieniem. Faktem jest natomiast, że na przykład

tablice takie stoją wokół dużej, pięknej miejscowości wczasowej nader popularnej, pełnej po brzegi ośrodków kolonijnych, campingowych, harcerskich, zakładowych. Tuż pod taką tablicą wybudowano piękny hotel dla turystów zmotoryzowanych. Sto metrów dalej kawiarnia, kajak, mleczarnia i różne kioski. Za groźną tablicą cała wioska kolorowych domków już w głębi latwoopalnego lasu, a obok niej posterunek ORMO. Po całym lesie buszują tabuny dzieci z nieodłącznymi trąbkami. Absolutnie nikt nie zwraca uwagi na „wstęp wzbroniony”. Całe wycieczki z okolicznych miast przyjeżdżają tu na grzyby, jagody, maliny. Las jest ogromny, piękny, pojemny. Czy autorzy rzeczonych zakazów nie czują, że się nim całkowicie ośmieszają? Czy równie serio, jak ten, mamy traktować wszystkie surowe zakazy „pod karą sądową” i tym podobne?

Chodzimy sobie godzinami po tych lasach, to nam mignie wśród brzoźek sarenka, to ominą nas wielkie mrowisko, ogrodzone wysokim płotem. Co to za czas! Nawet mrówki musimy już bronić przed zagładą! Tak się przyjemnie kładło na mrowisku zdechłą żabę albo wierzchołek w kopcu kijem, żeby wywołać chrząszczące zamieszanie tysięcy pracujących stworzonek! A teraz postawiono płot i mrówki chyba odetchnęły. Chodzimy godzinami, płacemy ścieżki, mylimy drogi. Przy każdej napotykamy tablicę z różnymi ostrzeże-

niami: żeby nie palić papierosów; żeby nie wywozić nieczystości; żeby nie niszczyć przyrody. Stusnie. Nie spotykamy tylko nigdzie choćby najmniejszego drogowskazu. Malej deszczulki z napisem, że do Kaprawy to w lewo, a do Zaprawy w prawo. Myślę, że brak takich informacji jest celową, zamierzoną atrakcją dla turystów: niech błądzą. Gorzej, że jeśli zabłądzą, to mogą ze zdenerwowania zapalić papierosa, spłoszyć kukulkę, rozdeptać ślimaka i kłapa z przyrodą.

Przed zabłądzeniem ratują sygnały w wielkim promieniu sygnały foniczne. W wieku siedmiu — dwunastu lat każdy chce być trębaczem. Każdy uczestnik kolonii jest więc trębaczem. Zaden nie umie grać na trąbce, wobec czego każdy gra siedem razy. W rezultacie apele i capstrzyki trwają permanentnie i psy nie wyją tylko dlatego, że na wsi nie ma już psów. Są w Łodzi, Warszawie, Poznaniu i Trójmieście. Instruktorzy kolonijni i harcerscy nie otrzymali jeszcze wytycznych co do „wyciszenia miejsc rekreacyjnych”, a sami na to nie wpadną. Cicho jest tylko nocą, kiedy na długo przed świtem idziemy na ryby. Około czwartej spotkamy się nad wodą z panem Z, M, C, z inżynierem K. z dwunastoma miejscowymi starszyskami, przyjdzie tych ośmiu warszawiaków, dwunastu łodziaków, czterdziestu starszych druhów i nasz wspaniały sąsiad z siwą brodą. Nareszcie człowiek będzie sam.

CWIEK